

BIBLJOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO TOM XXXVII

JÓZEF WEYSSENHOFF

PISMA

TOM CZWARTY

Syn Marnotrawny

JÓZEF WEYSSENHOFF

SYN MARNOTRAWNY

TOM I

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12

DRUKARNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA.

I.

Ktokolwiek wątpi o moralnej powadze domu państwa Dubieńskich, nie należy do ludzi dobrze myślących. Dom ten stał się przybytkiem cnoty i obywatelskiej zasługi, opromienił się tą niejasną, a jednak widoczną aureolą, która otacza skronie wybranych w naszych marnych czasach. Epoka obecna wydała tyle nowych ideałów etycznych, tyle jeszcze i dawnych pokutuje pomiędzy nami, że ogólne uznanie jest skarbem rzadkim, wobec bardzo różnych zapatrywań na powinność i zasługę. A jednak Dubieńscy posiadają ogólne uznanie. Wymagają też dla siebie szacunku z tą wyniosłą prostotą, której pychą nazwać nie można, tak oczywiście szacunek im się należy.

Z rodziny oddawna zamożnej stali się rodziną bogatą, zbierającą skrzętnie dobra doczesne, przekonani, że siła pieniędzy nietylko staje się źródłem siły moralnej, ale może tę ostatnią w pewnych wypadkach zastąpić. Etykę zaś chrześcijańską wybornie posiedli i misternie dostroili do potrzeb większej własności ziemskiej. Zdanie ich, na każdą oko-

liczność przygotowane, dałoby się rozwinąć w katechizm obywatelski dla błąkających się pośród nieustalonych nowożytnych poglądów na życie.

Patrjarchalność jest jedną z podwalin ich wielkości; zatem głowa rodu, pan Maciej, streszcza w sobie zalety i zasady rodziny, sam jest żywą jej zasadą. Nie należy do ludzi tak zwanych „sympatycznych“, sympatyczność jest bowiem zawsze pełna ustępstw dla słabości bliźnich, a pan Maciej słabości wszystkie potępia, nie poczuwając się prawie do żadnej. Wyciosany z granitu, nieprzepuszczalny na wpływy, posągowy, niby żyjący antenat, stary Dubieński trzyma wysoko swój sztandar, na którym pod klejnotem rodzinnym „Dąb“ wypisał godło: „Bóg mnie złamie, ludzie nie zegną“. Ten upór mógłby być pospolity w innym niż pan Maciej człowieku.

O żonie pana Macieja dawno już mówić przestano; umarł młodo, zostawiając troje dzieci.

Starszy syn, Romuald, nadzieja i podpora rodziny, ma lat trzydzieści, mieszka przy ojcu, zaprawiając się do przyszłego przodownictwa. Dla niego to pan Maciej stara się o założenie ordynacji, która dla wpływu i wielmożności rodziny stałaby się wieczystą ostoją. Romuald fizycznie i moralnie jest nieodrodnym spadkobiercą ojca, przypomina też portrety sławnego przodka, kasztelana Dubieńskiego, który w końcu XVIII wieku pomnożył znacznie majątek i odnowił splendor starożytnego swego rodu. Jeżeli Romuald przyniósł z sobą na świat jakieś porywy osobiste, jakieś cechy indywi-

dualne, wychowanie okrzesało je i postrzygło, jak te drzewa, przeznaczone do szpaleru, którym zakazane są dowolne wybujałości. Dęby Dubieńskich stoją zwartym, wyniosłym szpalerem od kilku już pokoleń. Nawet fizycznie rodzina posiada swój typ osobny, wytworzony może przez zapatrzenie się na siebie samą. Wszyscy prawi Dubieńscy są wysokiego wzrostu, czoła mają wypukłe, oczy jasne, daleko odsunięte ku skroniom, nosy wydatne, nieco miękkie. Te cechy kojarzą się jednak z powagą i godnością postaci. Romuald, ze swym miedzianym wąsem, przypomina starszym znajomym pana Macieja, dziś już siwego. Ojciec przed laty trzydziestu był podobno jeszcze piękniejszy od syna.

Ale najpiękniejszą z rodziny jest ta pełna wdzięku Terenia („cette charmeuse“), obecnie księżna Kobryńska.

Gdy Dubieńscy zjeżdżają się na jaką uroczystość familijną, ulubioną ich rozrywką jest wspominanie dawnych i stwierdzanie nowych działań ich uroku na resztę ludzkości. Lenbach tak był podobno oczarowany przez rasową postać księżny Kobryńskiej, że nie zdecydował się nigdy na malowanie jej portretu, mówiąc, że za mało życia mu pozostaje na takie studjum. Pan Maciej cytował z tego powodu Fra Angelica, który w poście i modlitwie gotował się do malowania swych aniołów; dodawał także wspomnienie z własnej młodości, z którego się okazuje, że nasz Juljusz Kossak, skoro malował portret męski na koniu, myślał zawsze o torsie pana Macieja, czego ślad pozostał w wielu obrazach te-

go malarza. Portret zaś samego pana Macieja przez Kossaka udał się, na nieszczęście, gorzej niż inne.

Gdy na wieczorach z tańcami Romuald prowadził mazura, pan Maciej lubił zwracać uwagę obecnych na ochoczą układność syna:

— Patrzcie, jak Romcio tańczy!... jak za nim spoglądają kobiety!... A jednak kto nas widział lat temu trzydzieści...

I pokręcał spłowiałego wąsa, szukając oczyma, czy kto go pamiętał w owych czasach. Pomniejsi przyjaciele uśmiechali się tęsknie do owych czasów.

Tej pogodnej spoistości, która łączy rodzinę Dubieńskich, nie należy nazywać samochwalstwem; jest to raczej rozrzewnienie, taki skurcz przyjemny, nieodłączny od zupełnych zadowoleń sumienia. Można sobie przyznać, nawet głośno, zalety bijące w oczy. Jest to sprawiedliwość, stosowana do siebie samych.

Że zaś ta sprawiedliwość umie nietylko chwalić, lecz i karcić, dowodem jest surowy sąd Dubieńskich o ludziach obcych, niedość zbliżonych do ich ideału cnoty, a nawet, w ostateczności, i o własnych odroślach. Jedna bowiem odrośl: syn najmłodszy, Jerzy, nie odpowiada wysokim rodzinnym tradycjom. Fizycznie nawet odrodził się od pnia genealogicznego, wdał się w matkę, czarnowłosą i czarnooką, której zasługa jako „mater Dubiensciorum" przyćmiona była nieco przez romantyczny i niepodległy charakter.

— Matka wasza miała w sobie coś buntownicze-

go. Piękna jej dusza nie doszła na ziemi do naszej starej prawdy.

Takie mgliste zwierzenie uczynił pan Maciej dzieciom, gdy uznał je za dojrzałe.

Jerzy więc ma tęskne, czarne oczy matki, jej twarz regularną, wrażliwą; piękny jest, prawda, ale zato mniej rasowy, bo mniej podobny do Dubieńskich. Przytem ma naturę niepodatną do kultury szpalerowej. Wszelkie usiłowania domowej edukacji nie zdołały złamać w nim oporu, który stawił od lat najmłodszych przepisom wypróbowanej doskonałości. Studja uniwersyteckie odprowadziły go jeszcze dalej od familijnych ideałów, a podróże po cudzych krajach tak przeszły we zwyczaj, że bardzo rzadko widywano Jerzego w Chojnogórze, głównem siedlisku Dubieńskich.

Jerzy już w szkołach jezuickich pisywał wiersze miłosne, potem na uniwersytecie w Krakowie zadawał się z młodą szkołą literacką-artystyczna, którą dla trudności ściślejszego określenia pospolicie przezywamy „dekadentami". To koczowisko nie cieszy się uznaniem u państwa Dubieńskich z Chojnogóry, którzy nie znoszą lekceważenia poważnych tradycyj, a przeto i nieokiełzanego nowatorstwa.

Myliłby się jednak bardzo ten, ktoby sądził, że Jerzy Dubieński stał się rozczochranym poetą. Przyjrzawszy się „najmłodszym" w kołach artystycznych, zapragnął zgłębić i przyswoić sobie inne formy nowożytnego życia, aby następnie stać się gdzieś, jakoś, pewnego rodzaju bohaterem. Wy-

zwolić się, wzbić się!... Takie pragnienia widniały w jego wyrazistych oczach, nagle olśnionych jakiemiś wizjami, w jego ruchach niespodziewanych i malowniczych. Dotychczas nie wypowiedział się jasno; w 28-ym roku życia można jeszcze „obiecywać“, a obiecujący jest w każdym wyrazie i nad wszelki wyraz. Zgadzają się na to szczególnie kobiety, którym Jerzy nie szczędzi hołdów, wyznań i właśnie tych czarujących obietnic. Nawet ojciec przyznaje najmłodszemu synowi umysł niepospolity, oczywiście dziedziczny, ubolewa tylko nad zadziwiającym brakiem poszanowania dla nazwiska swego. Dubieński bowiem nie powinien grzeszyć dlatego, że jest Dubieńskim.

Utyskiwania nad „brakiem zasad“ Jerzego są od kilku lat przedmiotem rozmów na zebraniach rodzinnych w Chojnogórze, zwłaszcza teraz, gdy wiadomo, że Jerzy „fatalnie się prowadzi“. Ten eufemizm oznacza w słowniku Dubieńskich pe wien rodzaj jawnogrzesznictwa we dwoje, tak, ja „brakiem zasad“ nazywa się odstępstwo od usta lonego katechizmu rodziny. Dubieńscy mają swój katechizm, swój słownik, swój styl udzielny.

Na ostatnich imieninach pana Macieja, 24 lutego, brak znowu najmłodszego w gronie członków zebranej przy ognisku rodziny. W wielkiej sali bibljotecznej zmierzch zapada, kilka zaś osób, siedząc w kącie przed kominem, spogląda w milczeniu na szyby okien, zmrożone, dopiero co różowe, teraz sine, przez które widać głęboką ponurość zimowego parku z kościstemi zarysami drzew na tle

śnieżnem. Ostatnie spojrzenia dnia zaglądają do nieoświetlonego pokoju, gdyż ogień na kominie zaledwie rozniecono, i błękitne języki, obejmujące słup dymu, nie świecą jeszcze i nie rozweselają melancholji zimnych blasków wieczornych, które się skupiły na wielkich oszklonych szafach, zwłaszcza na szafie „religijnej", noszącej liczbę I, rzymską. Przy tej szafie, w tronowym niby fotelu, siedzi pan Maciej, otoczony mniejszemi fotelami i mniejszymi przedstawicielami rodziny. Gniazdo jest w komplecie oprócz Jerzego: Romuald, księżna Teresa z mężem i stara panna Paulina, siostra Macieja, która poświęciła swój posag i świeckie widoki dla idei ordynacji, leżącej im wszystkim na sercu. Dożywa wieku swego w Chojnogórze, przedstawiając życiem i słowem katechizm Dubieńskich dla płci żeńskiej.

Przerwał milczenie pan Maciej, wskazując wymownie jeden pusty fotel przy kominie:

— Czy nie lepiejby mu tu było z nami? czy nie spokojniej w sercu i sumieniu?...

Odezwał się książę Władysław Kobryński, którego charakter zawierał się głównie w tytule, a postać była raczej niewyraźna ze swą ruchliwością nerwową, niepewnem spojrzeniem i jasnym, nastroszonym wąsem.

— Dla Jerzego trzebaby dwóch krzeseł, taki się teraz stał parzysty.

— Władzio żartuje — odrzekł sucho pan Maciej. — Czy chce tym sposobem rozweselić moje imieniny?

Kobryński powstał żywo i pocałował teścia w ramię, a pan Maciej dobrotliwie poklepał go po plecach. Władzio nie dostrajał się do powagi Dubieńskich, miał jednak dużo zalet: kochał oficjalnie żonę, chwalił jej rodzinę i miał tytuł książęcy należycie potwierdzony.

Ale pannę Paulinę niepokoi oddawna ta „parzystość" Jerzego, omówienie używane w rozmowach dla pokrycia jego paroletniego obcowania z kimś, którego nazwiska nie mogła się dowiedzieć. Ciekawość zaś była jedyną jej grzeszną przyjemnością.

— Z kim to Jerzy się trzyma? o kim mówicie?

— Zaplątał się w złe towarzystwo — odpowiedział pan Maciej.

— A w jakie? czy nie mogę wiedzieć?

— Przyczepił się do niego... towarzysz, który go wyzyskuje i wywiera zgubny wpływ na niego.

— Jakiś może socjalista?

— I to zapewne. Nie chcemy go tu nazywać.

Pan Maciej zatoczył ręką i oczyma po sali, a sala rzeczywiście nie wyglądała na to, aby mogła znieść wymówienie nazwiska panny Karoliny Kulig, o którą naprawdę w tej rozmowie chodziło.

Księżnie Teresie, wtajemniczonej, podobało się nagle to mianowanie „towarzyszem" panny Kulig, którą w poufniejszych jeszcze rozmowach nazywano „złym duchem Jerzego", albo poprostu „tą istotą". Księżna była najweselsza z rodziny; umiała połączyć wysokie moralne zalety z pewną pobłażliwością dla estetycznych grzechów cudzych.

Uśmiechnęła się teraz tym zaostrzonym w ciup uśmiechem, który jej zyskał inne familijne przezwisko: „ta dowcipna Terenia“:

— Ciociu! to jest towarzysz z lekkiej chorągwi...

Powstał śmiech stłumiony. Pan Maciej rzucił głową wtył, jakby się bronił od wesołości a nie mógł jednak przyganić ogólnie cenionemu dowcipowi córki. Panna Paulina powiodła oczyma po obecnych i, zaczynając rozumieć, zapadła w zgorszoną zadumę.

— Tereni wolno — rzekł pan Maciej. — Terenia, to nasz promień wesołości, nawet w ciężkich smutkach.

Wszystkie oczy spoczęły z lubością na postaci księżny Kobryńskiej: nikt nie wątpił, że Terenia jest promieniem. Tymczasem pan Maciej ciągnął dalej:

— Powziąłem dzisiaj postanowienie. Jeżeli Jerzy nie zmieni gruntownie i odrazu sposobu życia, odbiorę mu pensję.

— Ach, papo! — zawołali prawie wszyscy chórem, a szczególnie ten wyrok podziałał na Romualda. Zakrył twarz rękoma i siedział tak, jakby go blask sprawiedliwości oślepił. Rozmowa o pieniądzach stała się zaraz poważną.

— Tak, moje dzieci, nie widzę innego sposobu.

Zrezygnowane milczenie przerwał książę Władysław:

— Słyszałem, że Jerzy nie opływa w dostatki, że ma nawet długi, o! niewielkie!

— Słyszałem i ja — rzekł pan Maciej uroczy-

ście. — Długów nie zapłacę. My długów nie zaciągamy, ani ja, ani pan kasztelan, ani ty, Romualdzie, prawda?

— Nigdy! — odpowiedział syn pierworodny z męskiem oburzeniem.

— Tak... Jerzy nie szanuje wcale naszej tradycji. Trzeba go przemocą wprowadzić na drogę cnoty. Dlatego umyśliłem odebrać mu pensję.

Romuald odjął ręce od twarzy; siedział posępny, już przekonany o niechybności wyroku ojca. Panna Paulina próbowała błagać:

— Macieju! może na połowę?...

— Nie, Paulinko... Półśrodki nie są nam znane, gdy chodzi o zasady. Próbowałem listownie i przez zaufane osoby nawrócić Jerzego do uczciwego życia; nie posłuchał. Najlepszym tego dowodem jest znowu nieobecność jego na naszym zjeździe rodzinnym. Nawet listu niema, ani telegramu. Nawet nie wiemy, gdzie się dzisiaj znajduje.

— Owszem, wiem — odezwał się książę Kobryński. — Był w Paryżu, widział się ze stryjem Tadeuszem, a teraz jest w Nizzy.

— Skąd Władzio wie o tem?

— Skąd wiesz o tem?

Zarzucono go pytaniami, a on, jedyny niezupełnie Dubieński w towarzystwie, począł kręcić się na krześle.

— Pisano mi... to jest... pisał mi.

— Wiesz na pewno?

— No... wiem.

— Skoro więc Władzio jest powiadomiony, to

może wie także, czy Jerzy sam pojechał do Nizzy, czy... z towarzyszem?

— Tego nie wiem, ale są w liście jakieś aluzje, coś o uczuciach, napełniających pierś jak pieśń... coś bardzo niewyraźnego. Zadziwiło mnie to tylko, że mówi o nowych uczuciach? Miał przecie czas oswoić się.

— Poeci zmienni są — wtrąciła misternie Teresa.

— Coraz lepiej. No, a czy nie pisał, jak przyjął go stryj Tadeusz? — zapytał pan Maciej, topiąc w zięcia wzrok jeszcze bardziej badawczy.

Teraz Kobryński poczuł ważność swego głosu w radzie i zaczął perorować:

— Te dwie natury, stryj i Jerzy, są bardzo pokrewne. Obaj niespokojni, szukają innych dróg, niż zwykłe; obaj mają taki pęd... rozumie ojciec? do nienaturalnego życia...

— Nie o to pytam — przerwał pan Maciej — ale w jakich są teraz stosunkach?

— Sądzę z listu, że w najlepszych. Nawet przypuszczam, że stryj musiał dać Jerzemu pieniędzy.

Pan Maciej załamał ręce:

— Tadeusz! Jerzy... rany mojego życia!

Zasępił się i pomilczał chwilę, poczem rzekł stanowczo:

— Tem śpieszniej czyńmy naszą powinność. Romualdzie! Napisz do Jerzego, że nadal płacić nie będziemy.

— Ojcze! jeżeli można, zwolnij mnie od tego!

Romuald załamał także ręce dramatycznie, wpa-

trując się w ojca, oko w oko. Oba wyglądali, jak wyglądać byli powinni: sprawiedliwość i miłosierdzie.

Zaskrzypiał zmrożony żwir pod oknami i wkrótce ukazał się w bibljotece ksiądz proboszcz, przyjeżdżający na imieninowy obiad do pałacu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

Wszyscy ci chrześcijanie powstali, aby powitać sługę Bożego; kobiety pocałowały go w czerwoną, zmarzłą rękę, mężczyźni w ramię; pan Maciej tylko, będąc też rodzajem namiestnika Chrystusowego w swoim powiecie, pocałował księdza w policzek.

II.

Rozrywki podczas rodzinnych zebrań u Dubieńskich są dość ograniczone: rozmowa, uczta wspólna bez nadmiernej wesołości, czytania wskazane przez pana Macieja, stanowią treść tych tak zwanych rozrywek. Dzień, w ten sposób użyty, spędza się, nie można powiedzieć jednak, aby pozostawiał po sobie niezatarte wrażenie, albo tęsknotę, że już upłynął. Zwłaszcza Władzio Kobryński liczy wizyty u rodziny żony do swych cięższych obowiązków, które jednak opłacają się zwykle jakąś gratką, dodatkiem do renty posagowej, lub czemś po-

dobnem. Kapitały bowiem całej rodziny spoczywają niepodzielnie w ręku starego pana Macieja.

Do najlepszych chwil dnia w Chojnogórze należy przejażdżka konna, a Dubieńscy zażywają jej równie dla tradycji, jak dla okazania swej biegłości w jeździe i swych koni, podobno najlepszych w kraju, potomków owej sławnej niegdyś polskiej rasy, o której nie wypada wątpić, że istniała, gdyż różnemi czasy wiele o niej opowiadano. Kobryński, chociaż krytykuje pocichu sposób jazdy i chowania stada w Chojnogórze, lubi mierzyć się z Dubieńskimi, a ma też nieposlednie tytuły sporstmena: na torze warszawskim jeździł i wygrywał wyścigi, w Czechach zaś, w wielkim steeple-chase w Pardubicach, był raz dobrym trzecim, i to tylko z powodu zbiegu niepomyślnych okoliczności.

Ponieważ dzień po imieninach, 25 lutego, okazał się pogodnym, lekko mroźnym i bez wiatru, mężczyźni dosiedli koni, a księżna Teresa pojechała sankami z ciotką Pauliną. Pan Maciej miał pod sobą ulubionego siwka, nazwiskiem „Hetman II", pięknego ogiera, trochę już posypanego hreczką, ale bardzo szlachetnego w ruchu, z wyrzutem i odsadą zupełnie w stylu Juljusza Kossaka. Na młodszych, dzielnych koniach siedzieli Romuald i Władysław, obserwując się nawzajem i życząc w duchu jeden drugiemu, aby mu się koń potknął albo znarowił.

Do popisów mało było pola, gdyż nie pozwalała na nie zaśnieżona droga, miejscami śliska, a także nie wolno było wyprzedzać pana Macieja, który jechał na czele i miarkował tempo. Jednak Kobryń-

ski zboczył raz z drogi na łąkę, aby przesadzić niewielki rów, co mu się udało, a następnie stary płot trzy-żerdziowy, przyczem koń o górną żerdź zawadził i odwalił ją od słupa. Ojciec zatrzymał się i pospołu z Romualdem obejrzał nogi konia z fachowym namysłem, który był dla Kobryńskiego dostateczną wskazówką, że zachował się niestosownie. Po chwili rzekł Romuald:

— W skoku z długim rozpędem trzeba konia wcześniej podnosić.

A Władysław odpowiedział:

— Arabskie konie nigdy nie nauczą się skakać. Podnosić je, czy nie podnosić, wszystko jedno.

Odezwał się znowu Romuald:

— Ojciec i ja, skaczemy przez te płoty bez rozpędu.

Ale nie o te drobiazgi chodziło dzisiaj całej rodzinie, zabawiającej się przejażdżką. Wszystkim stał na myśli los Jerzego. Terenia, promień Dubieńskich, starała się spędzić groźne chmury z czoła pana Macieja i w tym sensie prowadziła rozmowę w sankach z ciotką Pauliną:

— Jerzy jest poetą, ma instynkty krańcowe. Taki surowy wyrok może podziałać na niego fatalnie. Czy ciocia nie myśli?

Panna Paulina myślała rzeczywiście, ale trochę o czem innem, pochylając głowę, owiniętą w czarny włóczkowy szalik, i strzygąc ku siostrzenicy okiem z lewej skroni. Ciotka miała oczy oddalone ku skroniom tak bardzo, że rys ten rodzinny stawał się estetycznie wątpliwym. Odezwała się poufnie:

— Tereniu! Chociaż mnie o tych rzeczach nie mówią, mam posądzenia... Powiedz, moje dziecko, wszak to kobieta trzyma Jerzego?

Terenia zaostrzyła dowcipny swój uśmiech:

— Przed ciocią nic się nie ukryje.

Panna Paulina zaś pochwyciła wyznanie, przełknęła i pokiwała głową:

— To najgorzej.

— Tak, ciociu, niedobrze jest. Ale tem bardziej jestem zdania, że nie można działać gwałtownie. Chłopiec się uprze, *il va se buter*. Tu trzeba jakiegoś mądrego a życzliwego wpływu. Gdy się ma do czynienia z uczuciem, trzeba ostrożnie. Prawda, ciociu, że niema nic nad uczucie?... *il n'y a que ça.*

Stara panna naszkicowała jakiś uśmiech, połączony z westchnieniem.

— Tu trzeba kobiecej ręki, ciociu... Mówiłam Władziowi wczoraj wieczorem, że gdybym ja mogła porozmawiać z Jerzym, byłoby dobrze. My z nim mamy różne rzeczy wspólne, on się ze mną porozumie.

— Trudnoby ci było jednak porozmawiać z nim o takich rzeczach. Jako mężatka, masz przywileje, ale zawsze... A wreszcie, gdzież go spotkasz?

— Żebyśmy mogli pojechać z Władziem do Nizzy, ręczę, że wyrwalibyśmy Jerzego ze złego towarzystwa. Ale pojechać nie tak łatwo: podróż kosztowna i pobyt kosztowny...

— Przedstaw to ojcu.

— Może ciociaby wspomniała?

— Ja spróbuję, ale i ty powiedz. Jeżeli Maciej uzna to za potrzebne, gotów wam pomóc do podróży. Ja nawet...

Tu przerwała panna Paulina, a księżna, rzuciwszy szybko na nią okiem, przełknęła ślinę i czekała przez chwilę dalszych wynurzeń ciotki.

Panna Paulina miała jakieś pieniądze składane oddawna, gdyż pobierała niewielką pensję, a prawie nic nie wydawała:

— Ileż tak naprzykład potrzeba na podróż do Nizzy?

— O! dużo, ciociu. Sama podróż ze służbą, bez dzieci naturalnie, bo na dwa, trzy tygodnie, sama podróż około tysiąca rubli; tam ze trzy tysiące. Tam się trzeba i stroić, i płacić za wszystko drogo, bo to kraj wielkiego zbytku, a nie można odróżniać się i wyglądać, jak byle kto.

— Tyle pieniędzy! tyle pieniędzy!... Ale gdyby to odniosło skutek...

— Mnieby także przydało się na zdrowie. Jestem zwykle słaba wczesną wiosną; brak mi tchu, influenza mnie nawiedza. W przeszłym roku mieliśmy jechać na południe, ale skończyło się na Paryżu. Ten rok mamy ciężki; o własnych siłach nie moglibyśmy wyjechać.

Rozmowa, rozpoczęta na przejażdżce, rozgałęziła się po południu. Książę Kobryński zapalił się do ratowania Jerzego. Wdał się w bardzo serdeczną rozmowę z Romualdem, a najprzód przyznał mu, że:

— Wy jednak doskonale rozumiecie konia i jazdę. Może nawet wasz sposób traktowania tego

sportu jest klasyczniejszy, zgodniejszy z wielką tradycją.

Następnie starał się dowieść, że on byłby bardzo przydatny w Nizzy. On zna się na kobietach i wie, jak się z niemi obchodzić. Wybiłby z głowy Jerzemu różne urojone obowiązki, zgrabnie wyprowadziłby go ze świata uciech, a oddał w ręce rodziny.

— Co potem z nim poczniecie, jest waszą rzeczą. Skoro jednak przyszło do wniosku, że trzebaby dać Kobryńskiemu pieniędzy na podróż, Romuald okazał mniej zapału. On sam mógłby też pojechać do Nizzy z siostrą, bez szwagra, jeżeli chodzi tylko o jej zdrowie i doraźne podziałanie na Jerzego. Ale temu sprzeciwił się książę stanowczo:

— Nie, żona bez męża nie może się znajdować w Nizzy. Jest ich tam dosyć tego gatunku, ale my jesteśmy innego i nie możemy Tereni pozwolić tak wyglądać. Znam Nizzę i wiem, że to niewłaściwe. Z bratem tam się nie jeździ, choćby z tak poważnym, jak ty. Jest na to sposób: jedźmy we troje! Dajcie tylko pieniędzy i jedźmy.

„Dajcie tylko pieniędzy!“ W tym drobiazgu zawarła się, jak zwykle, istota sprawy, gdy wszechstronnie i dojrzale ją rozważono. I znowu sprawa spoczęła, jak zwykle, w opatrznych rękach naczelnika rodu.

Wieczorem nikt nie wszczął zajmującej wszystkie umysły rozmowy. Wzięto się do czytania artykułu z *Revue des deux mondes* o poprzednikach Rasyna i Kornela w literaturze francuskiej. Przed-

miot wydał się dzisiaj towarzystwu zupełnie obcym, Kobryńskiemu zaś tem bardziej, że nie mógł się nigdy dopatrzyć wartości tych wielkich klasyków, a cóż dopiero miał słuchać o ich słabszych poprzednikach? Terenia, sławna lektorka, czytała z mniejszym wdziękiem, niż zazwyczaj. Ogarniające wszystkich nudy natężyły się aż do stanu znerwowania, pod którego wpływem można wyć podobno, jeżeli się nie należy do najlepszego towarzystwa. Temu nastrojowi uległ wreszcie i najodporniejszy pod tym względem pan Maciej, chociaż nigdy w życiu, jak sam zapewniał, nie nudził się.

— Odłóżmy czytanie — odezwał się po ziewnięciu księżny Teresy, stłumionem przez słodki aż do łez uśmiech. — Mamy głowy zaprzątnięte czem innem, myśl nasza nie zdolna dzisiaj oderwać się od sprawy rodzinnej, w której podobno macie mi do przedstawienia pewne projekty... Słucham... Któż to więc wymyślił projekt jechania do Nizzy, o którym mi w ciągu dnia coś wspominano?

Zaległo zrazu milczenie. Po chwili mruknął Kobryński, rzucając szybkiem, mijającem spojrzeniem po obecnych:

— Nie ja, w każdym razie.

Romuald jednym szerokim gestem odsunął wszelkie od siebie posądzenie. Panna Paulina zaś zdecydowała się wziąć na siebie odpowiedzialność:

— Kochany Macieju, przyszła mi ta myśl, gdym rozmawiała z Terenią. Może uznasz w swej sprawiedliwości, że środki gwałtowne są niebezpieczne

z takiemi naturami, jak Jerzy. Przypomnij sobie, jak było z Tadeuszem.

— Prosiłem, żeby o Tadeuszu nie wszczynano rozmowy bez potrzeby!

— Masz słuszność, przepraszam. Ale jeżeli odejmiesz Jerzemu wszelkie środki, a on się poczuwa do jakichś obowiązków względem tej... tego towarzysza, możesz go popchnąć do... może się zbuntować.

— Zbutować się?! przeciwko ojcu?!

Czoło pana Macieja marszczyło się coraz groźniej. Skąd ta krytyka jego wyroków? Kto śmiał powiadomić ciotkę Paulinę o zdrożnych stosunkach Jerzego? Powiódł silnemi oczyma po obecnych i oczy ich znalazł spuszczone. Tylko wzrok Tereni spotkał niby błagalny, niby natchniony.

— Papo! — rzekła Terenia — jam się nigdy nie poważyła wątpić o sprawiedliwości i dobroci papy. Ale wymyśliłam, rozmawiając z ciocią, tę jazdę do Nizzy, bo sądziłam, że tak mogłoby być dobrze, i to dla wszystkich. I mnie doktorowie radzą wyjazd na Południe. Może więc prosty egoizm myśl tę mi nasunął? Ale równie szczerze myślę, że potrafilibyśmy nawrócić Jerzego na dobrą drogę. Niech papa to osądzi. Ja nie mam przed nim nic ukrytego. Jeżeli podróż niepotrzebna, a ja chciałam się powodować swojej przyjemności, swoim interesom, to się wstydzę, okropnie się wstydzę.

Zerwała się z krzesła, przypadła do ojca i, przyklęknąwszy, ukryła twarz na jego ramieniu.

Pan Maciej przytulił ją i pocałował w czoło. Po-

tem kazał jej powstać, a trzymając ją za rękę, okazał się reszcie rodziny, jako żyjący przykład:

— Patrzcie! tak trzeba ze mną postępować. Prawda i zaufanie! Terenia odsłoniła mi całe swe serce, w którem są tylko godziwe pragnienia. Wolno jej zapragnąć czegoś dla siebie, skoro to i z dobrem cudzem, a przedewszystkiem rodziny, jest połączone. Otóż pochwalam wasz zamiar, moje dzieci, i pomogę wam nawet do podróży na Południe.

Zanim zaczęto dziękować, pan Maciej podniósł rękę na znak zastrzeżenia:

— Pamiętajcie o jednem: pojedziecie do krajów niebezpiecznych, gdzie rozkosz zapanowała nad obowiązkiem. Z tego odmętu trzeba wydobyć Jerzego — to jest waszem trudnem zadaniem; w tym odmęcie nie trzeba dostać zawrotu głowy, ani w nim długo pozostać, choćby zamiar wasz chybił. Jerzy zabrnął zbyt daleko w życie bez zasad, aby go odrazu nakłonić do naszych twardych obowiązków. Umyśliłem więc dla was taki plan podróży: jedźcie do Nizzy i zabierzcie Jerzego do Rzymu. Tam ja byłem za młodu. Atmosfera tego świętego miasta posłużyła mi wiele do moralnego zdrowia. I ja miałem pokusy, i ja miałem zapędy. Opanowałem je, a Rzym bardzo się do tego przyczynił. Dam wam listy do znajomych moich księży. Monsignor Concomassa jeszcze żyje. Krewny nasz, Ojciec Melchjor, otworzy wam również wszystkie drzwi do świętości i piękności rzymskich. Jerzy jest poetą, wrażliwym na piękno. Niech mu najwyższe dzieła sztuki pokażą ludzie równie wykształceni,

jak świętobliwi. Na sztukę trzeba także patrzeć przez zdrowe zasady, inaczej dochodzi się do chaosu pojęć i upodobań. Niech więc was Bóg prowadzi! Ale zanim przekonam się o zwrocie w życiu Jerzego, nie będę go zasilał, ani popierał jego błędnych kroków.

Rozrzewnienie, wywołane przez tę przemowę pana Macieja, przeszło aż w zakłopotanie. Księżna Teresa miała łzy w oczach, panna Paulina płakała na dobre, książę Władysław był nadzwyczaj podniecony i ciekawy, do jakiej cyfry będzie się należała wdzięczność teściowi. Romuald zaś, pominięty w projektach wyjazdu, musiał poprzestać na zwykłej dozie uwielbienia dla ojca. Reszta wieczoru upłynęła na powtarzaniu tych samych przestróg z jednej, a podziękowań z drugiej strony.

Okazało się nazajutrz, że Maciej dał Kobryńskim dwa tysiące rubli, sumę nie wystarczającą, ale jako zasiłek bardzo pomocną. Jednak Kobryńscy byli w wenie, gdyż panna Paulina wręczyła im od siebie tysiąc i sto rubli, z których tysiąc na podróż, a sto na zakup różańców i pamiątek w Rzymie.

Książę Władysław był do głębi wzruszony, dziękował cioci, którą zawsze cenił, a teraz dopiero przekonał się, jak słusznie; w poufnej zaś rozmowie z żoną tak się wyraził:

— Od Pauliny tysiąc rubli to tak, jakby ojciec dał nam folwark z Chojnogóry. Do swej przemowy proporcjonalnie dał trochę mało.

— Papa zawsze daje połowę — odrzekła Terenia: — to należy do jego zasad. Ale może da znowu, gdybyśmy później potrzebowali. On taki dobry!

III.

W każdym organizmie, choćby najtrwalszym, są miejsca bolesne i chore. Potężny ród Dubieńskich nie jest wolny od tej ogólno-ludzkiej skazy. Nie jeden tylko Jerzy jest „raną życia“ pana Macieja. Istniała w rodzinie starsza, niezagojona dotychczas rana. Tadeusz, stryjeczny brat pana Macieja, był wyznawcą najzgubniejszych idei jak oto: socjalizmu, wolnomularstwa, liberalizmu i t. p. Zdawało się, że Tadeusz wybierał umyślnie i przyswajał sobie z postępem czasu wszystkie idee nienawistne Maciejowi, aby go doprowadzić do rozpaczy.

W istocie Tadeusz stracił majątek za młodu i puścił się na życie bez zasad, bez steru, bez gwiazdy przewodniej. Jak te wyrażenia, o nim używane, tak samo tajemnicze były przeguby jego istnienia, mieniącego się różnemi barwami po różnych miejscach świata. Przepadał, ukazywał się znów na powierzchni, mniej lub więcej ozłocony i w tych chwilach świetniejszych budził nawet wielkie nadzieje. Ale najgorszą jego przywarą była „niepewność“.

— Stryj Tadeusz jest niepewny!

Pozostawała bowiem zawsze ta dokuczliwa

o nim wątpliwość, gdzie się znajduje, co zamyśla, ile ma pieniędzy.

Niewiadomo dokładnie, co porabiał przed laty w Ameryce; zdawano sobie tylko sprawę, że tam nauczył się walczyć z życiem. Dochodziły wówczas wieści, że się zbogacił, uprawiając pożyteczne rośliny, jak ryż i trzcinę cukrową; inni zaś przebąkiwali głucho, że, popadłszy w biedę, imał się mniej zaszczytnych zawodów, że był nawet czasowo kelnerem w restauracji. Tym ostatnim pogłoskom rodzina w Chojnogórze zaprzeczała jednak z oburzeniem.

Po kilku latach bez wieści okazało się, że jakiś Zebri-bej w Stambule, sekretarz i ulubieniec sułtana, jest Polakiem i nie kim innym, jeno Tadeuszem Dubieńskim. Otucha wstąpiła do gniazda Chojnogórskiego.

— Stryj Tadeusz miał zawsze zdolności do dyplomacji; może nareszcie odnalazł swe powołanie.

Otucha była tem raźniejsza, że stryj, razem z powołaniem, odnalazł i żyłę złota; gazety wyliczyły jego zasługi, zaszczyty i podały wierny wizerunek jego gabinetu, urządzonego ze wschodnim przepychem.

Ale znowu po kilku latach Fatum, bardziej czynne na klasycznym gruncie półwyspu Bałkańskiego, niż w reszcie świata, odmieniło koleje pana Tadeusza. Pozostał w Konstantynopolu, lecz nie przy wysokim Dworze; owszem, założył gazetę angielską opozycyjną, która przez pewien czas używała rozgłosu i posłuchu.

Wtem rozeszła się wieść, że dawny Zebri-bej, obecny redaktor, zbankrutował i trzema strzałami z rewolweru życie sobie odebrał. Inni mówili, że zginął w pojedynku z jakimś księciem serbskim, zazdrosnym o żonę. Jakkolwiekbądź, przywdziano już w Chojnogórze lekką żałobę, gdy autentyczna poczta przyniosła najnowszą wiadomość, że hrabia Tadeusz Dubieński znajduje się w Anglji i pisze obszerny memorjał o kwestji wschodniej w zaciszu własnej willi w Charing-Cross, której wizerunek podały też niebawem pisma ilustrowane.

Takich niespodzianek było zawiele dla pana Macieja, przyrosłego do miejsca, do tradycji, zajętego wychowaniem dorastających dzieci. Nie można było nigdy wiedzieć napewno, czy stryj Tadeusz jest chlubą, czy zakałą rodziny: czy go stawiać za przykład, czy za postrach młodemu pokoleniu? Przytem w całej tej awanturniczej historji był cień śmieszności, który korcił pana Macieja, gdyż ubliżał poniekąd powadze nazwiska. Przezorny naczelnik rodu postanowił zatem wykreślić rozmowę o stryju Tadeuszu z codziennego programu, wspominać o nim rzadko i po dokładnem zbadaniu wieści, które o nim wybuchały.

Jednakże wieści od lat kilku przycichły. Burza, miotająca tem życiem, przeszła w równiejszy wiatr, poczęła kierować nawę ku pewniejszym przystaniom. Pan Tadeusz obracał się w ogólnie znanej i dostępnej Europie, między Londynem a Rzymem, cieszył się zdrowiem i powodzeniem w przedsiębiorstwach finansowych, coraz mniej

ryzykownych; pozostał zawsze w stosunkach ze Stambułem, któremu, jak powiadano, wiele był winien; zyskał i inne rozległe stosunki u Dworów panujących, osobom koronowanym dawał uczty i podarunki, pokryty był orderami wszystkich krajów. Zarysował się wreszcie stanowczo i należało się spodziewać, że ostatecznie był to mąż polityczny wielkich zdolności, któremu tylko wyjątkowa pozycja człowieka bez ojczyzny nie pozwoliła wcielić swych pomysłów, zostać ambasadorem lub ministrem. Ograniczył się więc na zdobywaniu sobie środków do zajmującego i wspaniałego życia.

Pan Maciej zapragnął wejść z kuzynem w stalszą korespondencję. Ale Tadeusz okazał się znowu nieprzyjemnym: nigdy prawie nie odpisywał. Przysłał tylko do Chojnogóry portret swój, rytowany w Anglji, który znalazł pomieszczenie w gabinecie pana Macieja. Dyplomata przedstawiony był na nim w połowie postaci, w mundurze, w fezie, a tak był szczelnie przykryty orderami, że dumna głowa zdawała się spoczywać na trofeach skorupiastych, ułożonych w kształt piramidy. U dołu ryciny widniał herb Dąb, pod hrabiowską koroną między dwiema nieczytelnemi podobiznami podpisów, po angielsku i po turecku.

Pan Maciej wpatrywał się czasem w ten portret z rodzinną tkliwością:

— Co z ciebie jeszcze będzie? Czyś się już zatrzymał, bracie?

W duchu życzył gorąco, aby brat już się zatrzymał. Mogłaby z niego być pociecha i podpora.

Nie widzieli się od wieków. Ostatni raz spotkali się w Wiedniu, gdy Maciej, o pięć lat starszy, wracał ze ślubnej podróży, a Tadeusz grał resztką majątku, wcześnie odziedziczonego, w klubie wiedeńskim. Byli wówczas podobni do siebie fizycznie, choć bardzo różni moralnie. Teraz, sądząc z portretu, zatarło się i fizyczne podobieństwo: Tadeusz nosił krótko postrzyżoną brodę i powagę jakąś obcą, przepolerowaną zagranicą, miał nadto uśmiech trochę gorzki, jakby pamiętający ciężkie przedsmaki i smutne obrzaski rozkoszy.

Ktoś powracający z Londynu widział pana Tadeusza i opowiedział Dubieńskim, że stryj znacznie posiwiał. Wywarło to wrażenie w Chojnogórze. Szron był rękojmią stalszych zamiarów, chłodniejszych zapatrywań i wróżył o przyszłem, daj Boże, najlepszem porozumieniu między krewnymi.

— Wiecie, moje dzieci — odezwał się pan Maciej z rozrzewnieniem— już i stryj Tadeusz siwy... A młodszy ode mnie! Już starość nadciąga...

Terenia, naówczas młodziutka mężatka, zaprotestowała żywo:

— Papa jest zawsze młody i najładniejszy.

Przez kilka miesięcy stryj Tadeusz był przedmiotem najmilszych rozmów; zapomniano mu dawnych wybryków, przebaczono, jak chrześcijanom przystało. Był niemal wielkim człowiekiem, bogatym i siwym.

Ale ów stryj zagraniczny przeznaczony był widać na udręczenie pana Macieja. Nadeszła bowiem wiadomość piorunująca: Stryj ożenił się.

List własnoręczny oznajmiał o dokonanym fakcie. Ożenił się z Estellą Varicot, „świętą kobietą“ podobno, ale śpiewaczką teatralną. Zamieszkał w Paryżu, znowu we własnym domu, tym razem jednak gazety nie uznały za potrzebne odtwarzać go w swych ilustracjach.

Po tym wypadku stryj Tadeusz był na indeksie w Chojnogórze, zwłaszcza, gdy stwierdzono istnienie córki, Estelli Dubieńskiej, której wiek stanowczo nie zgadzał się z datą ślubu ojca.

Znowu odmienny powiew przyniósł do Chojnogóry wiadomość o śmierci pani Tadeuszowej Dubieńskiej i o ciągłem wzrastaniu majątku wdowca. Córka wychowywała się w klasztorze. Ale pan Maciej nie mógł już odnaleźć tego serdecznego ciepła, które to uczuwał, to tracił dla niepoprawnego brata; przez ciągłe fluktuacje serce zmęczyło się i ostygło. Obecnie rozmowy o stryju Tadeuszu przybrały ten zwrot klasyczny:

— Oby Jerzy nie poszedł w ślady stryja Tadeusza! Inną ma wprawdzie nautrę, jest poetą, ale... bez zasad, bez steru, bez gwiazdy przewodniej... jak Tadeusz!

Wyrazy, gdy się je bardzo często powtarza, nabierają ceny, jak stare sprzęty; nie ceny bezwzględnej, ale tego *praetium affectionis*, które stanowi wartość starożytności, przyzwyczajeń, wygody osobistej.

Że Jerzy widywał stryja w Paryżu, że podobał się staremu Zebri-bejowi i pozostał z nim w stosunkach, wiadomość ta zapadła głęboko w pamięci pa-

na Macieja. Mogło to mieć i dobre strony, ale tymczasem było niepomyślne, zwłaszcza jeżeli Jerzy otrzymywał od stryja pieniądze. Sposoby działania na Jerzego byłyby znacznie utrudnione, może nawet daremne. To też jednocześnie z poselstwem córki do Nizzy, pan Maciej napisał długi list do Tadeusza, kładąc nadgłówek „tibi soli“, który zapowiadał ważny i poufny charakter odezwy. Przezwyciężył swe wstręty, raz jeszcze otwierał serce bratu w celu ratowania syna. Nad listem tym pan Maciej prześlęczał dwa wieczory.

IV.

W poranny sen Jerzego wmieszała się gorąca melodja taneczna. Otwierał oczy powoli, ostrożnie, jakby nie chciał ze snem się rozstać, ale uśmiechnął się niebawem, poznając, że na jawie dźwięczą mandoliny i lubieżne głosy włoskich śpiewaków.

Łóżko z baldachimem i muślinową firanką, po ścianach płyną nikłe, zielonawe wełny od słońca, przezierającego przez niedomknięte żaluzje...

— Prawda! — to Nizza!

Pośpiesznie narzucił ranne ubranie, otworzył okno i odepchnął na zewnątrz żaluzje. Rozhukana piosenka wtargnęła do pokoju razem z oślepiającym blaskiem i z ciepłą falą pachnącego powietrza, w której panował ożywczy aromat morza,

Jerzy mieszkał tu już trzy tygodnie. Życie rozwinięte w tym rajskim klimacie dostarczało mu upojeń codziennych, a coraz nowych i kołysało do snu niepokoje sumienia. Dochodził do wniosku, że niepokój sumienia jest rodzajem malarji, właściwej strefom bardziej północnym. Tutaj czuł się nadzwyczajnie zdrowym i zdolnym do wielkich podbojów w rozległej krainie uciech.

Pod oknami, nieco na lewo, w przejściu między złoconemi kratami do głównych drzwi hotelu, stało pięciu śpiewaków, rozdzierając melodyjne gardła tem głośniej, że spostrzegli, jak okno od mieszkania Jerzego Dubieńskiego otworzyło się. Czarne oczy przodownika iskrzyły się w opasłej twarzy pożądliwe, zuchwałe razem i schlebiające, podczas gdy sam przodownik przeginał wymownie gruby swój tors, przekreślony mandoliną, aby zaznaczyć, że serenada brzmi na cześć „del conte Polacco".

Rozejrzawszy się po Rivierze, Jerzy zadał sobie pytanie: czy lepiej nazywać się tutaj hrabią, czy poetą? Po namyśle wybrał jedno i drugie. Zrozumiał, że dla odznaczenia się w tym tłumie międzynarodowym istnieje jeden tylko radykalny sposób: mieć bardzo dużo pieniędzy. Tych nie miał, szukał więc sposobów drugorzędnych. Tytułów rodowych było tu wiele, prawdziwych i fałszywych, zawsze jednak ten dodatek, dobrze noszony przy nazwisku, ułatwiał stosunki towarzyskie, a Dubieńscy byli prawie hrabiami, byli nawet znakomitszego pochodzenia, niż wiele rodzin utytułowanych. Zatem Jerzy, pisząc się hrabią na obczy-

żnie, żądał tylko tego, co się Dubieńskim należało. Sam pan Maciej zatoby go nie zganił.

Nazwa poety nie popłaca na Rivierze, to też nosić ją wypada oględnie. Jerzy lubił wiązaną mowę, posiadał w niej pewną biegłość, czuł nawet często potrzebę śpiewnego wyrażania swych myśli. Było to jego wdziękiem, zwłaszcza wobec kobiet, więc pozbywać się go nie chciał. Zachował zatem oba tytuły: hrabiego i poety.

Przyzwyczaił się poetyzować swoje wzruszenia i zapały i uspokajał się, gdy je oblekł w rymowaną formę. Tym samym sposobem rozwiązywał czasem zawiłe kolizje obowiązków z upodobaniami: przerabiał je na wiersze, i wtedy w poezji jego przeważał pierwiastek dramatyczny.

Obecnie przeszedł także przez dramat. Poczta przynosiła do Nizzy płaczliwe listy panny Karoliny Kulig, trzyletniej już towarzyszki, którą Jerzy opuścił, czując pragnienia, porywy, konieczności fatalne, jednem słowem to, co się mówi kobiecie, gdy się jej ma dosyć. Żale Karoliny budziły w Jerzym litość, cóż, kiedy studja jego nad pięknem poszły dalej, wyżej, a przedewszystkiem gdzie indziej.

Nie skończył jeszcze ubierać się, gdy otrzymał list z miasta, nie z poczty, adresowany znajomem kobiecem pismem dobrego kroju. Hrabina de Sertonville dawała mu znać o projektach swych na cały dzień, o zajęciach łatwych do podzielenia we dwoje, z których rozkosz wyniknąć mogła w każdej chwili. Oprócz tej strony informacyjnej list był emalją ze słodkich wspomnień dni poprzednich,

z cytat wybornych autorów, z nieśmiałych pieszczot i z hamowanych wybuchów temperamentu. Piękniejszych listów kobiecych Jerzy nie znał, ani piękniejszej autorki, i czuł się powołanym do kochania tej nowej kobiety.

Wyszedł z hotelu, upojony od rana lekkiem, zdrowem winem młodości.

Zaledwie kilkadziesiąt kroków oddzielało hotel od morskiego brzegu, szerokość „promenade des Anglais“. Po tej białej drodze, gładkiej jak niezmierny, płócienny chodnik, przelatywała czasami żółta, dwukołowa bidka, szybkim kłusem korsykańskiego kuca pędzona, podnosząc lekkie obłoczki białego kurzu, sprawiając śmieszny brzęk grzechotek, niby automatyczna zabawka; śmigały lub płynęły ciche bicykle, to znów samochód dudnił po szosie niepokojącym pędem. Na bidkach, samochodach, bicyklach, wszędzie postacie dokładnie wystrojone, dokładnie funkcjonujące, podobne do siebie z ogólnego pozoru, chociaż bardzo różnych typów twarzy, od czarnych południowców do wysmukłych, jasno kolorowych Anglików. Stroje kobiet jaskrawe, wiosenne. Oprócz silnych zapachów, płynących zewsząd, coś jeszcze panowało na tem wybrzeżu: śmiech. Jerzy łowił w przelocie śmiejące się głosy i rozbawione spojrzenia kobiet, zapakowanych z mężczyznami w ciasne bidki, słyszał urywki wesołych rozmów przechodniów pieszych w alei palmowej, a i gdzieś z okien, otwartych na ten radosny poranek, i gdzieś od spokojnego morza dolatywały podniecone głosy kobiece, jak

świegot ptaków, niezupełnie widzialnych wśród liści. Czuć było szał w powietrzu.

Zatrzymał się w alei dla pieszych i mimowolnie uśmiechnął się: przechodzące, nieznajome kobiety zaglądały mu w oczy śmiało, powitalnie.

— Nasz jesteś, podobasz się — mówiły te spojrzenia.

Oczy mężczyzn, gdy je na chwilę spotykał, wyrażały mniej przyjazne uczucia; owszem, widział w nich błyski zawiści lub pogardy. Ale Jerzy umiał już te wyzwania odpierać jasnem, twardem spojrzeniem, którego nikt nie stara się wytrzymywać bez powodu.

Zszedł po kilku schodach na żwir wybrzeża, aby spojrzeć zbliska na morze Śródziemne. Było tego dnia takie, o jakiem marzą zmęczeni ludzie Północy, dla zapomnienia trosk, dokuczliwych obowiązków i mgieł zimowych.

Jerzy zapatrzył się w dal roztoczoną i wsłuchał się w rytmiczny szept fali.

Morze przychodziło do brzegu pomarszczoną ławą szafiru potężnie, a jednak tak cicho, że regularne uderzenia fali o brzeg podobne były do równego oddechu ogromnej, uśpionej kobiety. Kobiece było dziś niezmiernie i pełne współczucia dla rozkosznych pragnień ludzi. Śniło po staremu nad kolebką Europy, spoglądało wiecznie mokremi oczyma na krótkie radości i bóle, na mijające sławy i zwaliska ludzkie.

Nad szafirami srebrny pył,
Spokojne morze dyszy,
Więc będę śnił i będę pił
Prawdziwą moc tej ciszy.

Widnokręgowy zarys zmiękł
We mleczność tajemniczą,
W oczach mi cud i w sercu lęk,
Myśli ze snem graniczą.

Niebieskie pola gładkich fal
Tu — ówdzie łódka plami,
A kormoranów krótki żal
Przez ciszę brzmi czasami.

I rzekłbyś, że zbłękitniał świat,
Gdyby nie żagla białość;
I myślałbyś, że sen nań padł,
Gdyby nie ptaka żałość.

Pośród leciutkich morza tchnień
Namowy dziwne słyszę:
W taki spokojny, modry dzień,
Pójść mi w wieczystą ciszę!

Pójść mi we mgłę, w krańcowy szlak,
Po drżącym wód kobiercu —
I niech mój skon opowie ptak
Jednemu tylko sercu.

Jerzy utrwalił sobie w pamięci ten wiersz, którego muzyka od kilku dni dzwoniła mu w głowie, ołówek i wiersz spisał na kawałku papieru. Rad był z utworu, żałował tylko, że nie może go ofiarować Fernandzie de Sertonville, gdyż ta pani, na pół Hiszpanka, na pół Francuzka, po polsku nie rozumie. W każdym razie poszedł szukać Fernan-

dy, która miała dzisiaj jeść śniadanie u państwa Granowskich. Jerzy był także do nich zaproszony.

Willa Granowskich leżała dalej na tej samej Promenade des Anglais; Dubieński poszedł brzegiem morza, nie śpiesząc się, gdyż miał jeszcze pół godziny czasu. Rozmarzony wspomnieniami, podniecony dreszczem obietnic Fernandy, szedł powoli i nieuważnie, gdy głos kobiecy odezwał się do niego po polsku:

— Panie Dubieński! prosimy o adres restauracji.

Głos był pełny, poważny, a jednak niby podszyty śmiechem. Jerzy poznał pierwej głos, niż osobę pani Anny Oleskiej, która z drugiego równoległego chodnika rzuciła mu zapytanie przez pustą szosę. Towarzyszyła jej córeczka, Zosia, śliczna miniaturka wysmukłej mamy, i Fabjusz Oleski, krewny nieboszczyka męża pani Anny.

Jerzy przeszedł śpiesznie przez szerokość drogi.

— Dzień dobry, pani! dzień dobry panu! Mówiono, że państwo mieszkacie w Cannes.

— Ja tam mieszkam z córką, a mój kuzyn w Antibes na skale. Przyjechaliśmy dzisiaj na śniadanie do Nizzy i tak jesteśmy oboje zacofani, że nie umiemy trafić do London-House.

— Miło mi będzie służyć za przewodnika. Niestety, mam śniadanie proszone u Granowskich, więc poprowadzę tylko do drzwi restauracji. Dumny byłbym się pokazać przy stole obok pani, której tu jeszcze nie znają, a która zapewne wywoła należyte osłupienie...

Ani te słowa, ani poddańczy wzrok Jerzego nie znalazły łaski w oczach pani Oleskiej. Odpowiedział za nią Fabjusz:

— Jeżeli w London-House bardzo tłumnie, chodźmy lepiej do jednej z tych nadmorskich budek. I tu się dobrze jada.

— Owszem, mój kochany — odrzekła zaraz pani Anna posłusznie i zwróciła się do Jerzego:

— Panna Granowska ładna?

— O, bardzo ładna.

— Tylko tyle?

— Więcej nie wchodzi w zakres mych obserwacyj.

— A na śniadaniu będą inne panie?

— Może być... — odrzekł Jerzy z zanadto wielkim gestem.

Fabjusz patrzał głębokiemi oczyma na Jerzego, przygryzając krótką, ciemną brodę i nerwowo potakując głową, jakby chciał przyśpieszyć cudzą wymowę. Sam zaś mówił nadzwyczaj płynnie i dobitnie.

— Nie nalegajmy, moglibyśmy na szwank narazić dyskrecję pana Dubieńskiego.

Jerzy chciał niby protestować, ale Fabjusz uprzedził go, zmieniając rozmowę.

— Przed chwilą spotkaliśmy pana Hynko-Zakopiańskiego. Może pan go zna?

— Znam, niestety.

— Porzucił rzeźbę i rytownictwo; trudni się już tylko haftem i poezją, od czasu jak został wieszczem laureatem po swym „Nieboskim balecie“.

Zwierzył mi się, że chce zamknąć Nizzę w tryptyk i w tercyny. W każdym razie będzie trzy po trzy.

Pani Anna zaśmiała się wesoło:

— Powiedziałeś mu to prawie.

— Nie zrozumiał. Wogóle, jak jego koledzy, nie rozumie wagi, ani doniosłości słowa. Z filozoficzną kulturą jest tam słabiej, ale natchnienie ogromne, nieustające. Tylko natchnienie rozumnego człowieka różni się znacznie od rozgrzania bezładnego mózgu. A pan co pisze, panie Dubieński?

— Napisałem parę wierszy lirycznych, parę kart rymowanego pamiętnika, rzeczy nie do druku.

— To szkoda; pan ma kulturę i cokolwiek pan napisze, choćby o Nizzy, nie będzie pan kolegował, ani współzawodniczył z Zakopiańskim.

Jerzy skłonił się i dworsko zapytał Fabjusza:

— Ze wszech miar ciekawe byłoby wiedzieć, nad czem pan obecnie pracuje?

— Jestem na wakacjach; warsztat mój pozostał na Śląsku. Tutaj bawię się obserwacją, trochę i pisaniem o barbarzyństwie, kwitnącem w naszej zarozumiałej epoce, o barbarzyństwie, które się mieni rozkwitem cywilizacji.

Oleski zaciął usta i natężył spojrzenie, a Dubieński skłonił się znowu, ale nie odpowiedział. Potwierdził w duchu zdanie swe o Fabjuszu; jest to dziwak, widzący życie przez jakieś szkła osobne, ale pod tym względem niebezpieczny, że ma zawsze słuszność, gdy się go dosłucha do końca.

Przyszedł czas na rozejście się. Pożegnano się

uprzejmie; pani Oleska ładnie spojrzała na Jerzego, chcąc mu widać wynagrodzić zimne swe poprzednie zachowanie. Powiedziała mu nawet:

— Chciałabym poznać pańskie tutejsze wiersze.

Jerzy chwycił się za kieszeń od surduta, ale wczas przypomniał sobie, że wiersz do Fernandy nie może się pani Oleskiej podobać. Więc cofnął się, mówiąc, że się omylił, że zapomniał, że pozwoli sobie kiedyś nadużyć jej cierpliwości.

Idąc do Granowskich, Jerzy rozmyślał jeszcze o swem świeżem spotkaniu.

— Pani Oleska, która od śmierci męża gdzieś jak cień przepada, także tu przyjechała, i to z nieodstępnym Fabjuszem. Wprawdzie mieszka w Cannes, a on w Antibes, no, niedaleko... Ta wzorowa pani Anna!... Fabjusz jest bliskim krewnym jej męża, dużo starszym, nie tak znów stary i dobrze wygląda. Albo to opiekun zwykłego rodzaju? Albo Argus? W obu wypadkach zbyteczny.

Rozśmiał się potem z własnych myśli, bo nie mógł na serjo marzyć o podboju serca pani Oleskiej, będąc od tak niedawna zapalonym wielbicielem pani de Sertonville.

— Fernanda piękniejsza. Ta jej skóra złota, gładka i odurzająca naturalnym zapachem... A pani Anna?... Twarz ma białą, rumieniec wschodzi na tej twarzy jak zorza, wzruszenie jak chmurka około ust i oczu. Postać taka prosta, giętka i energiczna w ruchu, a taka uczciwa... Fernanda zato ma ruchy wspaniałe, zapożyczone niby od wschodnich tańców. Fernanda ma więcej „tonu“ ze swym

kruczym warkoczem... Pani Anna ma włosy jasne, a oczy ciemne, to rzadka odmiana...

Zapuścił się jeszcze dalej w odgadywaniu szczegółów piękności pani Oleskiej, wreszcie błysnął zębami, zacisnął wolno palce, jakby starając się objąć jakiś kształt nieujęty, i zaklął wesoło, jak człowiek, szukający ujścia zbyt różnorodnym uczuciom i obrazom, które mu tłumnie napływają do mózgu.

— Do stu par djabłów! Ile tu wspaniałych kobiet!

Ale razem poczuł trochę wstydu, przeprowadzając porównanie między temi dwiema kobietami.

— Pani Oleska nie jest damą... nicejską, a Fernanda?

Gdy wszedł do przedpokoju Granowskich, już płaszcz pani de Sertonville tak mu żywo przypomniał jej zapach, że nabrał znowu przekonania o wyższości jej nad wszystkiemi kobietami świata.

V.

Dom hrabiny Tekli Granowskiej nie był w zasadzie wesoły, gdyż pani ta przyjechała do Nizzy na zimę, z synem i córką, rzeczywiście dla zdrowia. Stan jej polepszył się jednak znacznie. Groźne duszności ustąpiły prawie zaraz po zamianie słotnego klimatu późnej polskiej jesieni na wieczne lato nicejskie. Smutna kobieta zaczęła coraz chciwiej oddychać zbawczem powietrzem, a nawet rozglądać się z upodobaniem po kraju i po ludziach. Głośne nazwisko i wielki majątek dawały Granowskim

możność sprowadzenia do swej willi całej błyszczącej czeredy, która tu koczuje na wybrzeżu od Cannes do San-Remo, a z powodu nadzwyczajnych ułatwień komunikacji, ma dwa niby wspólne salony: Nizzę i Monte-Carlo. Pani Granowska przywykła u siebie w kraju być oględną w wyborze towarzystwa, zwłaszcza, że mąż jej, pozostały w Polsce, był bardzo nieprzystępny i zajęty pracą na wsi. Ale w Nizzy wybredna pani doszła do przekonania, że stosunki tutejsze na innych są oparte zasadach, że zresztą nie obowiązują na przyszłość. Tutaj mogą wszyscy znać się ze wszystkimi, bo wszyscy są niby na wakacjach, niezwiązani w towarzystwo, ani w społeczeństwo. Znajomych Polaków przesiewano jednak staranniej, niż świeższych znajomych innych narodowości. Niektórzy mieli to pani Granowskiej za patrjotyczną zasługę.

Śniadanie było dzisiaj na dwanaście osób. Hrabina, na wpół leżąc w głębokim fotelu, przyjmowała gości, wyciągając do niektórych tylko rękę, dla drugich odchylając ciężkie swe, siwiejące włosy od adamaszku, tłumacząc się wreszcie trzecim, że powstać nie może. Wszyscy to rozumieli. W salonie znajdowała się najprzód obok matki Krysia, świeża blondynka z pięknemi włosami, zupełnie ładna, pomimo że nosek miała zmysłowy, ruchliwy, trochę za gruby. Syn, Antoni, nadzieja rodziny, był nieco smutny: podobny do siostry, ale bledszy, wysoki i wąski w ramionach, trzymał się trochę pochyło, wszystko w nim tłumaczono nieśmiałością.

Pierwsi weszli do salonu państwo Rubenson, tak ogromnie bogaci, że należeli do najlepszego towarzystwa. Zresztą tylko pan miał typ niezatarty bankiera z Frankfurtu, obecnie czynnego w Paryżu. Rysopis jego można przez grzeczność pominąć. Był zawsze usłużny i czasami podobno dowcipny. Pani, Belgijka, jeszcze piękna, ubierała się wybornie i zajmowała się „celami dobroczynnemi".

Hrabina de Sertonville przyszła oczywiście bez męża, bo nikt go oddawna nie widział w Nizzy, ani przy niej. O mężu tym mówiła rzadko i zawsze pochlebnie; ale przyjaciele jej roznosili wieści, że hrabia sromotnie ją wyzyskał i porzucił, co wywołało prawną separację. Fernanda wchodziła po raz pierwszy na śniadanie do Granowskich i wykonała swój ingres po mistrzowsku. Ktoby jej nie znał, domyśliłby się odrazu, że to kobieta bez oparcia, której własny rozum i serce powinny to oparcie zastąpić: tak coś falowało w jej ślicznej postaci, spowitej w płową suknię, niby w skórę lwicy; taka bolesna prostota leżała na jej śniadej twarzy, oprawnej w krucze, nisko uczesane włosy; tak pochód jej był płynny, stanowczy, a bynajmniej nie zuchwały. Gdy doszła do pani domu i do Krysi, obie odezwały się razem:

— Jaka pani piękna!

Fernanda skłoniła głowę, jakby pod ciężarem tej ciągle powtarzanej prawdy.

Jerzemu Dubieńskiemu nie udało się wejście, gdyż ledwie przejrzał się w lustrze, drzwi zewnętrz-

ne otworzyły się gwałtownie i do przedpokoju wpadł, jakby wepchnięty, Hynko-Zakopiański, tracąc monokl z oka i wykrzywiając swą bladą, pomiętą twarz nakształt gutaperkowej maszkary. Włosy miał dłuższe niż zwykli ludzie a wzrok krótszy. Gdy znów włożył monokl i podszedł do Jerzego, poznał go:

— Dubieński! Jak się macie? Prawda, że morze dzisiaj jest symfoniczne?

— Aha — mruknął Jerzy, potakując, ale choć pragnął odczepić się od Zakopiańskiego, ten mu dotrzymał towarzystwa przy wejściu do salonu, mówiąc jeszcze:

— Świątynia, prawdziwa świątynia ten kraj, błękitnym dachem nawspak przewrócona!

— Także pomysł!... Poco go tutaj zaprosili?

Tak pomyślał Jerzy, i było to pierwszem wrażeniem owego śniadania, pogorszonem jeszcze, gdy ktoś odezwał się z głębi pokoju:

— Oto wejście poetów!

A Jerzy swą układną, zgrabną postacią, swą miną misterną, oczyma uprzejmie podsuniętemi pod powieki, chciał wyrazić tutaj, że jest hrabią, nie zaś poetą. Uśmiech pani de Sertonville przyjazny, choć powściągliwy, pogodził go wkrótce z życiem. Zakopiańskiego zaś pani Granowska przedstawiała, jako sławnego naszego poetę, wierząc w to sumiennie na zasadzie recenzyj, pisanych przez braci tego samego zakonu.

Teraz weszli najlepsi znajomi.

— Przyjaciele zawsze się spóźniają — rzekła pani Granowska, powstając trudno z fotelu.

Margrabia d'Anjorrant z żoną, piękną, poprawną Amerykanką, siostrą jej, lady Cosway, bez męża, i nieodzowny uczestnik wszystkiego, co się dzieje na Rivierze, Eustachy hrabia Słuszka, weszli razem do salonu.

Dubieński wiedział, że na śniadaniu ma być Raul d'Anjorrant, ów legendowy „król snobów", ale go nie znał. Gdy spostrzegł wchodzącego mężczyznę średniego wzrostu, w szaro-różowym surducie, o rysach regularnych, młodych jeszcze, lecz ze srebrnym już odbłyskiem na czarnych włosach, pomyślał:

— Czy to ten??

Ale gdy zobaczył zbliska pogardliwe, złe skrzywienie ust, wzrok grzecznie zuchwały; gdy stwierdził niepomierną sympatję, którą wszyscy odpowiadali na jego krótkie: Bonjour, bonjour! — wątpliwość ustała.

— Tak, to d'Anjorrant.

Przekonał się zaś o tem ostatecznie, gdy go z nim zapoznano. Margrabia uderzył w niego zimnem spojrzeniem, które wydało się Jerzemu jakimś wyrokiem, poczem rzekł:

— Spotykam w Paryżu hrabiego Dubieńskiego, „wielkiego Turka", jak go nazywamy. Czy to pański krewny?

— Tak jest, margrabio, jestem synowcem.

— Ale nie Turkiem, mam nadzieję. Jakże się miewa ten kochany wujaszek?

— Dziękuję, dobrze.

— Może za dobrze? Nic nie szkodzi. To sprytny człowiek, zna się na interesach. Im później, tem może się stać droższy.

Jerzy brwi lekko ściągnął, ale d'Anjorrant zmienił ton na uroczysty:

— Poważnie mówiąc, bardzo cenię pańskiego wuja; należy do naszych przyjaciół.

Poczem przerwał audjencję i zwrócił się w inną stronę.

Tymczasem Słuszka tłumaczył długo i wymownie, dlaczego się nieco spóźnił. Mówił po francusku, jak Francuz, wyglądał zaś, jak Eustachy Słuszka, czyli zupełnie oryginalnie: czarna, niewielka postać, starannie ubrana, z oczyma sędziego śledczego i z uśmiechem dziecka.

— Pani hrabino! Nie można mówić mi tego, co się wszystkim mówi. Ja się nigdy nie spóźniam, tylko mogę być w kolizji obowiązków. Mym obowiązkiem jest stawić się na godzinę zaproszenia, ale nie możecie nawet zgadnąć, ile innych zadań miałem dzisiaj do spełnienia. Gdyby „kwadrans łaski" nie istniał, trzebaby go właśnie dla mnie wymyślić. Napoleon, ten wielki człowiek, z którym, mój Boże, mam niektóre wspólne cechy, powiedział...

— Jesteśmy legitymiści, kochany Eustachy — przerwał d'Anjorrant — a śniadanie, które opóźniasz swą wymową, nie może być, jak tylko królewskie.

— Bardzo się o to boję — wtrąciła pani Granowska.

— Jakto! pani hrabino?! — zawołał Słuszka z oburzeniem — ja pani wynalazłem kucharza, ja poświęciłem kilka godzn — a nie mam ich do stracenia, — na instrukcję tegoż kucharza, ja ułożyłem treść dzisiejszego śniadania, i pani może wątpić?!

Pani Granowska uśmiechnęła się tylko pobłażliwie i rzekła:

— Kochany panie Eustachy! jesteś niezbędny, o tem wątpić nigdy sobie nie pozwoliłam.

— Nareszcie oddano mi sprawiedliwość!

Wznosił ręce w górę, biorąc niby niebo na świadka. Potem roześmiał się, pokazując szeroko zdrowe zęby.

Pani Granowska szepnęła pani d'Anjorrant na ucho:

— Czy pozwoli pani na dzisiaj oddać ramię mego syna pani Rubenson, która pierwszy raz jest u mnie na śniadaniu? Zyska pani na zamianie, idąc do stołu ze Słuszką.

— Dziękuję za Słuszkę, ale i wasz Toni jest bardzo miły.

— Będzie go pani miała przy sobie po drugiej stronie.

— To doskonale; dziękuję.

— Pani taka dobra i uprzejma!...

Pochyliły ku sobie twarze, na znak i symbol pocałunku, poczem urządzono resztę ceremonjału. Pani domu podała ramię margrabiemu i posadziła go po swej prawej; na lewo miała Rubensona, który prowadził lady Cosway. Dubieński otrzymał panią de Sertonville, a dla Krysi przeznaczono Za-

kopiańskiego, który, mimo sławy wielkiego poety, był *après tout un jeune homme sans conséquence.*

Przed samem pójściem do stołu, Jerzy zauważył krótką uboczną rozmowę d'Anjorrant'a z Fernanda, spostrzegł wyraz żartobliwy margrabiego i dosłyszał taki urywek rozmowy:

— Uosabiam los pani na dzisiaj.

— Sprawy bez jutra nie są zajmujące; ale mogą być zabawne... Chodźmy — rzekła do Jerzego, przewijając swe ramię krągłe i płowe przez jego łokieć ruchem tak kocim, że Jerzy się wzdrygnął. W sali jadalnej został odłączony od swej damy z powodu innych jeszcze hierarchicznych kombinacyj; Fernanda usiadła między d'Anjorrant'em a Krysią, Jerzy zaś znalazł się między lady Cosway a Słuszką.

Musiał się zająć bawieniem lady Cosway, która zrazu wydała mu się wcale niechętną do rozmowy. Była to pokaźna blondynka, podobna do siostry swej, margrabiny, z nikłemi rysami i silną szczęką, świeża, różowa, bardzo normalna. Jadła w milczeniu i piła wodę mineralną, zaprawioną kilku kroplami wódki. Dopiero gdy Jerzy zatoczył parę kręgów około jej wyobraźni, zapytała:

— Czem się pan zajmuje?

— Chciałbym pisać... i piszę trochę.

— Prozą czy wierszem?

— Wolę wierszem.

— Czy pan ma już ustaloną pozycję poety w swoim kraju?

Jerzy spostrzegł, że tu trzeba dać jakąś dokładną informację o swojej kategorji, zdecydował się więc na małą przesadę:

— Czy mam pozycję, nie mogę o tem sądzić. Śmiem jednak twierdzić, że każdego mego tomu oczekują z pewną niecierpliwością.

— Au! a jak się wymawia pańskie nazwisko? Jerzy nauczył ją bez trudności, jak się po angielsku wymawia „Count Dubieński“.

— Może pan zechce wpisać aforyzm do mego albumu?

— Z największą chęcią.

— Napisze pan po polsku i przetłumaczy na angielski.

— Niedość dobrze władam tym językiem.

— To po francusku.

— Owszem.

Po ubiciu tego targu nastało krótkie milczenie. Jerzy pomyślał: czyby nie wpisać ostatniego swego wiersza? A lady Cosway zaczęła się przyglądać towarzyszowi dużo łaskawiej. Była nawet ładniejsza z uśmiechem, odsłaniającym duże, wystawowe zęby. I zaczęła się nowa indagacja:

— Do jakich klubów pan należy?

Jerzy, już nauczony doświadczeniem, wyliczył parę klubów rzeczywistych i parę urojonych. Pominął tylko angielskie.

— Czy pan poluje na bażanty?

— Przepadam za tem polowaniem. Te bukiety pięknych ptaków, z metalicznemi odblaskami w słońcu...

— Nie. Ja mówię o dzikich bażantach. Niema bukietów.

— Lubię także. Są znowu niespodzianki lasu, ciemne głębie, z których niewiadomo, co wyjść może...

— O nie! niskie krzaki na bagnie.

— Dla myśliwego i ten widok może być ponętny.

— To niech pan przyjedzie do nas w tym roku na bażanty w listopadzie. Dam panu adres po śniadaniu.

— Bardzo dziękuję. Jeżeli tylko obowiązki moje mnie puszczą.

— Odpowiedzieć trzeba do 1-lipca; 3-go lipca listę gości zamykamy.

Rozmowę tę przerwała głośna perora Słuszki, zwrócona zrazu do pani d'Anjorrant, następnie do pani Rubenson i do wszystkich obecnych. Chodziło mu o rolę kobiet w nowożytnej cywilizacji.

— Kobieta nowożytna powinna studjować życie mężczyzn, — o! w grannicach możliwości! — Jeżeli chce utrzymać swój wpływ na mężczyznę, musi być zdolna do towarzyszenia mu mniej więcej wszędzie. A do wpływu na mężczyznę ogranicza się cała rola kobiety w życiu.

Pani d'Anjorrant zaprotestowała:

— Zaczął pan dobrze, ale źle skończył. My mamy swoją niezależną rolę w życiu.

— Pani! Pochlebiam sobie, że jestem pani przyjacielem. Otóż mówiłem zawsze i powtarzam: Ameryka ma najzdrowsze pojęcia o potrzebnej

nam cywlizacji. W jednej rzeczy się myli: co do roli kobiety w społeczeństwie.

— Peuh! — wtrącił d'Anjorrant — nikt nie jest doskonały. Jeżeli myli się Ameryka, i ty się możesz mylić.

— Raulu, bądź łaskaw dać mi skończyć. Kobieta ma swoje wieczne, o!•i najszczytniejsze! zadania. Gdy je zaniedbuje dla męskich zajęć, dla męskich sportów, pozbawia się wdzięku, a wtedy jest skończona.

— Tylko co pan mówił, że ma studjować życie męskie — podchwyciła pani Rubenson — jakże ma je studjować?

Słuszka zatrzymał się na chwilę. Potem rzekł z nakazującym gestem:

— Powinna mnie słuchać. Ode mnie dowie się wszystkiego, co potrzebne, nie usłyszy nic nad to.

— O tem jesteśmy wszystkie przekonane — rzekła z uśmiechem pani Rubenson, prawie chórem z całem towarzystwem, przyzwyczajonem do groźnych peror Słuszki, które znoszono uprzejmie.

Słuszka był niby na wyjątkowych prawach między swymi przyjaciółmi; zwłaszcza panie pozwalały mu dawać sobie rady, gderać, oświadczać najgorętsze lub najbardziej nienawistne uczucia, wiedząc, że to wszystko nie pociąga za sobą zbyt doniosłych skutków i utrzymuje się w granicach dozwolonych. Wszyscy przyjaciele znali też jego serdeczną uczynność i zaufaną dobroduszność, kryjącą się pod pozorami wesołej tyranji i retorycznej wyższości. Od kilku lat, tracąc duży ma-

jątek między Paryżem a Rivierą, Słuszka utrzymywał się w sztucznem podnieceniu, do którego życie takie daje ciągłą sposobność.

Jerzy nie wypuszczał z pod obserwacji Fernandy, pomimo ubocznych i ogólnych rozmów. Stwierdził, że zachowywała się skromnie, mało rozmawiała z d'Anjorrant'em, a ciemne swe spojrzenia kierowała bardziej do Krysi. Lgnęła niby do niej swą sympatją starszej, ale jeszcze nieśmiałej kobiety, porozumiewała się z tą ciekawą blondynką jakiemiś kociemi minkami, zwilżając czasem rąbkiem języka swe palące czerwone wargi, jak to miała we zwyczaju.

— Mądra, mądra kobieta! — myślał Jerzy — jaka układna! Nie poznaję wcale mojej gwałtownej Fernandy.

Po śniadaniu miał z nią jechać do Monte Carlo.

IV.

Pociąg, zbierający pasażerów od zachodu na wschód, do Cannes, Antibes, Nizzy, Beaulieu, do korony tego kraju, do Montecarlo, mknął samym brzegiem morza, mijając po lewej stronie niby ogród gęsto zamieszkany, oliwne gaje na rdzawych stokach skał, mury białych willi, kapiących od róż i geranium; ze świtem i grzmotem wpadał w krótkie tunele, osadzał się z rozpędu na małych dworcach, na których przybierał gorączkowo kilka osób, trzaskał drzwiami wagonów, świstał i ru-

szał dalej, bryzgając wesołą parą na szosę tuż obok rozciągniętą. Po szosie tej warczały samochody, śmigały bicykle na wyprzódki z pociągiem. Zaledwie gdzie niegdzie ciężki, wysoki wóz, wleczony przez muła, przerywał ten pęd, jakby dla oznaczenia szybkości mijającego pościgu.

Wcześnie jeszcze — dzień cały przed nami. Może to dzień szczęścia, niebywałych wzruszeń, może ten oczekiwany dzień wielkiej fortuny?... Tymczasem dzień taki pogodny, aż się dostaje skrzydlatych zachcianek. Możnaby się przejechać grzbietem tych wyżyn przez opalowe leciutkie mgławice, można puścić się łodzią po tem ciepłem, przyjaznem morzu. Ale wstąpimy najpierw do sali gry w Montecarlo. Coś łechce, coś upaja, coś gna.

Tylko woźnica włoski w bluzie i w birecie, leżąc niedbale na ładownym wozie, mniema, że dzień jest zwyczajny, pracowity, i spogląda chmurnie ze swego wysokiego leża na szczęśliwych, którzy go pędem mijają.

W pościgu śmiechy i podniecony głos Słuszki. Nie siada nawet, obchodzi po przedziałach mnóstwo znajomych, bo ma wiele nauk do udzielenia. Tę zaś główną:

— Mówię wam, posiadłem sekret rulety. Gnomy rulety nawiedzają mnie. Kto chce być szczęśliwy, proszę za mną. Dzisiaj mój system gram do spółki z księżną della Robbia. Mogę jeszcze kogoś przybrać, mam jeszcze jedno miejsce.

Odezwał się baron von Schwind, Westfalczyk,

wysoki, kościsty, rasowy, z oczyma zmęczonemi przez bezsenność i hamowaną chciwość:

— Każdy za siebie, mój drogi, to najlepsze. A jeżeli już spółka, to ją wolę z Rubensonem, tylko niech mi najprzód da kredytywę na pół miljona.

Wskazał głową w oddalony kąt wagonu, gdzie siedział Rubenson w towarzystwie pani de Sertonville i Jerzego Dubieńskiego.

— Patrz, jak opuchł od biletów bankowych. Jeżeli dzisiaj wygra, będzie je musiał ulokować z tyłu, z przodu już nie zmieści.

— Schwind! — odezwał się sentencjonalnie Słuszka — traktujesz grę nadto lekko. Zobaczysz, przyjdziesz jeszcze na moje podwórko.

— Obiecuję ci solennie przyjść, jak tylko się spłókam.

— Bah !

Przeszedł do przedziału, gdzie siedział d'Anjorrant z żoną i jej siostrą.

— A pani margrabina czy gra dzisiaj?

Pani d'Anjorrant dała gestem do zrozumienia, że nie ma pieniędzy. Słuszka już się ofiarowywał z pożyczką, gdy margrabia, ziewający w kącie, odezwał się sarkatycznie:

—Dziwię się, że kobieta piękna i z mojej szkoły może być pozbawiona środków.

Lady Cosway zarumieniła się. Pani d'Anjorrant, pragnąca nabrać francuskiego dowcipu i stosować się do męża, śmiała się niby serdecznie. Ale Słuszka był zgorszony i nie znajdował odpowiedzi:

— Moje dzieci! — rzekł wreszcie d'Anjorrant

niecierpliwie — niema, na szczęście, panien między nami. Nie jesteśmy już u Granowskich. Przyznać trzeba Granowskim jedną zasługę; w naszem życiu nerwowem przedstawiają źródło odpoczynku, działają jak sen.

— Och, to sobie spokojni ludzie, bardzo porządni — rzekł Słuszka.

— Czy powiedziałem co innego? Właśnie to samo. Ty jednak, jako mentor całego świata, powinienbyś pani Granowskiej, którą także zapewne oświecasz, zabronić spraszać ludzi z czterech stron horyzontu. Horyzontalność kobiet naprzykład nie mogłaby być dowiedziona na lepszym podmiocie, niż na pani de Sertonville.

— Doprawdy, Raulu, jesteś niemiłosierny!

— Owszem, jestem wzorem miłosierdzia. Pani de Sertonville posiada różne podniecające specjalności. Stawia ją to w rzędzie kobiet wybitnych.

— Raulu! co ty gadasz? — odezwały się tym razem obie siostry.

— Zamilczmy zatem i przejdźmy do innych. Rubensonów nie wymawiam nikomu. Ludzie zupełnie przyzwoici, sto milionów razy przyzwoitsi, niż ci, którzy mają jednego franka. Ale któż to ten... ten, co się nazywa jak czkawka?

— Hynko Zakopiański... To poeta... zdolny podobno... warjat.

— U nas byli tacy na Montmartre, za czasów mego dzieciństwa. No, a pan Dubieński?

— Zupełnie porządny chłopiec, z doskonałej rodziny.

— Także poeta?

— Nie groźny.

— Ile ma renty rocznej?

— Mało. Ale rodzice bardzo bogaci, no i stryj... wszystko to przyszłość wprawdzie.

— Cóż on tedy porabia z piękną Fernandą?

— On z Fernandą?!

— Eustachy! jesteś aniołem! Wznieś oczy ku niebu. Na wysokościach te palmy zwiastują nam raj, w którym możemy się spotkać bez rozterki.

Dojeżdżali do Montecarlo. Stroma skała zasłania od kolei żelaznej widok siedliska rozkoszy. Ale skoro służba kolejowa głośniejszym okrzykiem zwiastowała oczekiwaną nazwę, otworzyły się wszystkie drzwi wagonów i potężne windy wzniosły jednych spragnionych na szczyt wzgórza, podczas gdy inni, zdyszani, biegli po łamanych schodach do tegoż celu, niebaczni na cudowne linje gór, przebłyski szafirowego morza i ściany roślin najrzadszych odmian.

Żaden teatr w dni wielkich przedstawień, żadna katedra podczas morowej zarazy nie wchłania tak szybko ludzi w swe otwarte narozcież podwoje, jak to czyni złoty dom rozpusty. Siła magnetyczna złota, przewalającego się wewnątrz, jest tak potężna, że tylko ludzie, którzy pragną koniecznie okazać swą oporność, wchodzą powoli, a i ci czują niby wiatr, pchający ich naprzód.

Rubenson, Słuszka, Schwind, d'Anjorrant ze swemi paniami znikli już w różnobarwnych czeluściach. Ociągała się jeszcze pani de Sertonville i Jerzy.

— Czy będziemy grali? — pytała Fernanda.

— Chyba tanio — odpowiedział Jerzy.

— Dla wielkich ludzi jest tylko wielka gra.

— Dla wielkich sakiew szczególnie.

— Takiś szalony? taki poeta?

— Zrobię wszystko, co każesz — rzekł Jerzy pod wejrzeniem Fernandy.

— Wiesz... mam przeczucie wygranej dzisiaj. Poróżniłam się z d'Anjorrant'em, nie miałam szczęścia w rozmowie z nim; może to dla gry dobra wróżba?

— Jakto? co to?

— Z d'Anjorrant'em trzeba być dobrze. I ja się o to staram, bo to człowiek niebezpieczny. A był przyjacielem mego męża!... Dość, żem starała się przypomnieć mu dawną zażyłość, a on... To człowiek bez czci i wiary.

— Ale cóż ci zrobił? co powiedział?

— Ach, to za długie... Niech mu Bóg przebaczy... Wiesz co? Daj mi grać za nas oboje... Ile przeznaczasz na grę dzisiaj?...

Dubieński dobył pugilares i oddał wszystko, co się w nim znajdowało: 1.200 franków.

—To niewiele. Ja mam tylko tysiąc franków.

Pokazała bilet tysiącfrankowy w portmonetce.

— Więc oddaję ci dwieście i dajemy po tysiąc. Teraz pozwól mi grać. I z tego można dorobić się fortuny. Na obiedzie w Grand-Hotelu, prawda, mój jedyny?

Weszła do domu gry, a Jerzy poszedł tymczasem nad morze. Tam omacał kieszenie i znalazł jeszcze

bilet na tysiąc franków w kamizelce. Ta warjatka Fernanda przegrywa zawsze, więc poco jej dawać za dużo?... Ale jaka misterna kobieta! Pierwszy raz ją widział dzisiaj u autentycznie uczciwych ludzi.. Jak ona umie stosować się do otoczenia!

Na tarasie od morza było stanowczo za gorąco, a szczególnie blaski i natężone barwy tak raziły oczy, że Jerzy poszedł szukać po mieście jakichś ciekawości, gdyż do sali gry nie chciał teraz wchodzić.

O kilkadziesiąt kroków pod górę, przy bulwarze palmowym, który już znał na pamięć, spostrzegł napis: „Wystawa obrazów“. Wszedł do rotundy, ale wkrótce ją opuścił: było tam kilkadziesiąt malowideł dekoracyjnych, bez wartości. Zlustrował następnie wystawy sklepowe przy nielicznych ulicach mniej więcej poziomych na płaskowzgórzu montekarlijskiem. Dalsze uliczki, prowadzące pod górę, przypominały włoskie miasta; czystsze znacznie, ale bez indywidualności, bez życia. Miasto w tej porze dnia wyglądało puste; zaledwie gdzie niegdzie zdążał ktoś szybkim krokiem do Kasyna lub powolnym, zniechęconym, w stronę przeciwną. Kilka kobiet spotkał, nie mogąc sobie zdać sprawy, do jakiej należą klasy; wszystkie miały wspólną cechę niepokoju.

Wracał już po raz drugi do tych samych wystaw sklepowych, w których właściwie były tylko dwa rodzaje: stroje i klejnoty, gdy zwabił go wielki sklep antykwarjusza.

— Może znajdę jaką dobrą miniaturę?

Przejrzał ich co najmniej setkę: wszystkie lepsze były fałszywe, wszystkie stare mało warte, a przecenione niepomiernie. Oglądał też gotyckie tryptyki z kości słoniowej, świeżo strugane kozikiem i rzymskie medale, wykonane za pomocą galwanoplastyki, i stare niby kopje obrazów, malowane na fotografji. Gdy nareszcie antykwarjusz zrozumiał, że nie z frycem ma do czynienia, zaczął wydobywać rzeczy lepsze, choć drugorzędne. Po długich poszukiwaniach, napotkał nareszcie Jerzy przedmiot ciekawy: wziął do ręki miedzianą, złoconą blachę w formie małej tarczy. Na stronie wypukłej był przytarty nieco wizerunek, starannie rytowany, na odwrotnej stronie wklęsłej, poczerniałe malowidło. Jerzy poznał ze zdumieniem polski ryngraf z końca XVII-go wieku. Odłożył go nabok, aby nic nie dać poznać po sobie, potem wziął blachę do światła, okurzył i szczegółowo obejrzał.

Na złoconej powierzchni widniała Matka Boska Częstochowska ze swemi dwiema bliznami na twarzy; u dołu herb Nałęcz na działach i sztandarach z przedzieloną datą 16—83. Na odwrocie Męka Pańska.

— Co pan chce za ten fragment?

— Czy to fragment? — zapytał antykwarjusz, wpatrując się pilnie w oczy kupującego.

— Zapewne...., stara blacha od zbroi...

— To jest jakaś świętość. Pochodzi od rodziny,

która mi różne rzeczy sprzedawała w zaprzeszłym sezonie, a naostatku to...

— Cóż pan żąda za tę blachę ?

— Dawano mi za nią dwieście franków. Ale że jeden pan, który ją targował, dawno nie wrócił, oddam ją za... sto.

— Ach, panie! Jabym kupił tak... aby nie zabierać napróżno czasu... za parę ludwików.

— No, niech pan da 60 franków dla pierwszej znajomości.

Jerzy zapłacił z pewnym pośpiechem żądaną sumę i ryngraf zabrał. Gdy go ukrył pod surdutem, poczuł chłód metalu, i lekki dreszcz go przejął.

Poszedł do kasyna, aby odszukać Fernandę. Znalazł ją odrazu w sali kolumnowej, zwanej „atrium“. Siedziała na ławce z Rubensonem i opowiadała mu prawdopodobnie bardzo zabawne rzeczy, gdyż poczciwy bankier zanosił się od śmiechu, licząc tysiącfrankowe bilety.

Skoro tylko Jerzy się zbliżył, Fernanda rzekła:

— Nie należymy do szczęśliwych. Wszystko przegrałam.

Twarz jej, po której wrażenia przechodziły, jak żywe obrazy, wyraziła nagle boleść i prośbę o przebaczenie.

— Ależ, kochana hrabino... na to byliśmy przygotowani. Taki drobiazg!

— Czy doprawdy?... Teraz umyśliłam grać na wspólkę z panem Rubensonem, och! w dwudziestej części, bo on gra kolosalnie,

— My wygramy — rzekł Rubenson, podnosząc z kanapy swój krótki kadłub, którego kształtów trudno było się domyślić pod ubraniem, tak był dziwacznie złożony z wypukłości, z fałdów i nieokreślonych napełnień.

— Musi być ładny w stroju... kąpielowym — szepnął Jerzy do Fernandy, gdy Rubenson oddalał się do sali gry.

Dubieński rzekł to z pewną zaciętością, gdyż potworna prawie postać bankiera sprawiała mu fizyczną odrazę, zwłaszcza w bliskości Fernandy, która lubiła z Rubensonem rozmawiać dla jego dowcipu.

Pani de Sertonville podniosła oczy zrazu wystraszone, potem pełne miłosnego zawodu:

— Jak możesz wywoływać takie obrazy?!

— Ja go nie wywołuję, on sam zawsze się znajduje.

— Przy mnie? Możeś zazdrosny o niego?

— Zazdrosny być nie mogę, ale nie lubię, gdy jego kosmata łapa dotyka choćby twej rękawiczki, albo gdy brudny surdut otrze się o twoją suknię.

— Brudny nie jest; owszem, można przy nim siedzieć. A rozmawiać z nim lubię dla jego dowcipu.

— Żebym ja kiedy mógł zrozumieć, na czem polega ten dowcip! Gdy powie „dzień dobry", uśmiecha się, jak smok po przełknięciu barana. Gdy do rozmowy wtrąci „to zależy", znowu śmieje się, przymykając lewe oko. Ale ja się nie śmieję.

Pani de Sertonville obserwowała rozprawiającego Jerzego uważnie.

— Żeś dowcipniejszy, mój poeto, o tem nie wątpię. Ale dlaczego ludziom upośledzonym odmawiać przyjemności obcowania z nami?... Zwłaszcza szczęśliwi powinniby być dobrzy i łaskawi — dodała z przechyleniem głowy tak wymownem, jak pocałunek.

Weszli razem do sal gry, przepełnionych, uroczystych i gorączkowo czynnych.

VII.

Zaledwie minęli pierwsze stoły, zwrócili uwagę na parę ludzi, błąkających się opodal od gry.

Mężczyzna nosił na sobie szare, źle skrojone ubranie, monokl w oku, a minę miał tak zuchwałą dawnego bywalca „po podobnych zakładach“, że każdy go brał odrazu za nowoprzybyłego. Kobieta była ubrana lepiej, nosiła się z uprzejmą godnością i pilnie przeglądał zgromadzenie zapomocą szyldkretowej lornetki.

Jerzy, idący z Fernandą, stanął nagle, jakby przed gorączkowem przywidzeniem:

— Do licha! to moja siostra.

Instynktowo odsunął się od Fernandy, dając jej znak, że muszą się rozejść. Ale ona, tylko ruchem brwi wyraziwszy niespodziankę, odrzekła szybko i twardo:

— Głupstwo, zaraz mnie jej przedstawisz.

W grupie obserwowanej powstał też mały popłoch, krótka narada i decyzja. Poczem obie pary

skierowały się ku sobie z różnemi, stosownie do usposobień, oznakami zdziwienia i radości.

— Założyłam się z Władziem, że zdybiemy cię aż tutaj, w paszczy potwora — ozwała się pierwsza dowcipna Terenia.

— W paszczy... ha... ha!.. Cóżto za projekt niespodziewany?... Pozwolisz, Tereniu... pani hrabina de Sertonville pragnie zabrać z tobą znajomość.

— Tyle o księżnie słyszałam od jej brata, że pozwoliłam sobie odrazu narzucić się ze swą znajomością. Ciekawość i najlepsze me uprzedzenia niech mi posłużą za wymówkę.

— Ciekawość jest nam wszystkim wspólna, córkom Ewy. Miło mi poznać panią — odpowiedziała księżna Kobryńska, dystyngowanem zmrużeniem niewielkich oczu wywdzięczając się za pochlebstwo gwałtownych oczu Fernandy.

Książę Władysław, gdy go zkolei przedstawiono pięknej Hiszpance, uznał za stosowne stwierdzić swój hołd sumiennym pocałunkiem w rękawiczkę, a pani de Sertonville oderwała lekko rękę od tego uścisku, jak panienka, która dla igraszki dotyka się pierwszy raz maszyny elektrycznej. Potem rzekła:

— Usuwam się. Przedewszystkiem rozrzewnienia rodzinne.

Tych właśnie oczekiwał Jerzy z pewnem odrętwieniem, jakby Kobryńscy przywieźli z sobą trochę mrozu z Chojnogóry, i mróz ten powarzył kwiaty jego wyobraźni. Zapytał nawet:

— Cóż tam u nas? zima?

— Sanna, mój drogi — odrzekł Władysław. — A ta hrabina co za jedna?

— Hrabina Fernanda de Sertonville, Hiszpanka, za mężem Francuzem. Jedliśmy razem śniadanie u Granowskich, a potem w licznej kompanji przyjechaliśmy do Montecarlo.

— U Granowskich? Aa! to zatem pani z wysokich sfer?

— Czyś wątpił?... Powiedz mi jednak, skąd się tu nagle wzięliście?

Księżna Teresa przybrała wyraz tak misterny, że brat, który ją znał dobrze, domyślił się odrazu jakiejś misji nieprzyjemnej.

— Przyjechaliśmy trochę dla mojego zdrowia, trochę... dla ciebie.

— Bardzo rad jestem. A czy przywozicie mi pieniądze, których dawno oczekuję?

— Jeszcze nie.

— Jakto: jeszcze nie? co to znaczy?

— Aby wszystko wytłumaczyć, musimy gdzieś się odosobnić na rozmowę, bo tutaj trudno.

Rzeczywiście było trudno. Chociaż tłumy skupione były głównie około stołów rulety, a znaczna tych stołów odległość sprawiała, że przejścia po sali nie były zbyt zatamowane, jednakże ruch przechodniów był ciągły i niewygodny dla osób, nie biorących w grze udziału. Wszystkie twarze były mniej więcej zasępione, podniecone jakiemś cichem pijaństwem; rzadko trafiała się twarz pogodna lub obojętna. Kobiety i mężczyźni opuszczali nerwowo

jeden stół gry, aby szybko zdążać do drugiego lub ku wyjściu. Ktoś podczas takiej gwałtownej migracji potrącił księżnę Kobryńską i uciekł, zaledwie przeprosiwszy. Kobiety, szeleszczące nadzwyczajnemi strojami, obwieszone łańcuchami i klejnotami, przechodziły szybko, triumfalnie, mierzyły nowo przybyłych roztargnieniem, często pogardliwem spojrzeniem; czuły się tutaj widocznie u siebie w domu.

Wogóle ciżba była nadzwyczaj strojna, bardzo różnobarwna i zajmująca, ale bynajmniej niewesoła, owszem, jakaś groźna.

Jerzy chciał odrazu wyprowadzić siostrę na powietrze, ale księżna ociągała się:

— Zostańmy jeszcze trochę. Po raz pierwszy jestem w tych salach, a zapewne i po raz ostatni: muszę się napatrzyć.

— Dlaczego po raz ostatni? — rzekł Kobryński. — Tu przychodzą wszyscy: od głów koronowanych aż do... aż do najprostszych ludzi. Tu jest schadzka całej Riviery i całego świata.

— Ale tyle niebezpieczeństw! — szepnęła Terenia, mrugając rozjaśnionemi oczkami. — Może nie dla mnie, choć i ja czuję się dziwną... ale dla Władzia naprzykład. Władzio przegrał już dwieście franków.

— Postawiłem dziesięć ludwików *„contre le coup de trois“*. No, i powtórzył się trzeci raz ten sam kolor, więc przegrałem. Wielka rzecz! jutro, albo po obiedzie wygram.

— Widzę, że się znasz na tem — rzekł Jerzy, zadowolony, że szwagier niezbyt przesiąkł powagą swej misji.

— Ja?! Mój drogi, ja tu byłem już dwa razy; w Baden raz bank zerwałem; prawda, żem się znowu zgrał w Ostendzie, ale naogół mam wenę i grać umiem.

— Władziu! — rzekła żona z niewymowną słodyczą — czy przyjechaliśmy o takich rzeczach rozmawiać z Jerzym?

— Ach, moja kochana! Jerzy jest dawno pełnoletni, a to, co mu powiemy, weźmie, jak mu się spodoba.

— Władziu!

Władzio machnął ręką i przestano się spierać, a księżna Teresa upatrzyła w sali kąt mniej zapełniony i tam pociągnęła za sobą męża i brata. Lornetkę skierowała na architekturę sali.

— Powiedz mi, Jerzy, kto malował te freski?

— Freski?... Prawda, są jakieś; nawet ich dotąd nie spostrzegłem. Kto je malował, nie mam pojęcia.

— Ty? taki artysta?...

— Rzadko bywam w tej sali.

— Rzadko? więc mało grasz?

— Nie gram wcale. Czasem mi się zdarzy coś potrzymać do spółki, albo z nudów postawić parę sztuk złota, ale w zasadzie nie gram.

— Jurku! — zawołała księżna z entuzjazmem: — jam zawsze mówiła, żeś ty nie upadł, że się wznosisz owszem, tylko się szamoczesz z niebezpieczeń-

stwami twej bogatej natury! Jurku! jak się cieszę, że cię znajduje w dobrych dyspozycjach!

Jerzy obejrzał się, czy kto ze znajomych nie usłyszał niezwykłego wybuchu siostrzanego afektu, a potem uśmiechnął się:

— Jestem rzeczywiście w doskonałem usposobieniu. Niczego mi nie brak... a! owszem — pieniędzy. Mieszkam w Nizzy, piszę trochę, widuję najlepsze towarzystwo...

Siostra uspokoiła się i przybrała wyraz hamowanej czułości, pod którym jednak drżały jeszcze niektóre powątpienia, obawy, spółczucia, igrając z sobą nawzajem.

Kobryński zaś spojrzał na Jerzego wzrokiem wilczym, zpodełba, obiecywał sobie bowiem zostać poufnym sojusznikiem szwagra, tymczasem spotkał w nim wyznawcę wielu cnót, na teraz mniej potrzebnych.

Terenia przeglądała znowu chciwie barwną galerję osób, napełniającą salę.

— A ta wysoka, z piórami tonowanemi na kapeluszu, która ci skinęła tak zgrabnie głową, jak się nazywa?

— Ach, zapomniałem. To nie jest pani „z towarzystwa".

— I znasz ją?! Uciekam stąd, moi drodzy. Jeszcze do mnie gotowa zagadać.

— Niema obawy. Ale wyjść możemy na powietrze, bo tutaj duszno i rozmówić się niepodobna.

W tej chwili grupa, złożona ze Słuszki, Rubensona i pani de Sertonville, zbliżyła się do grupy, roz-

prawiającej w kącie, z widocznym zamiarem zaczepnym.

Słuszka przypomniał się pamięci księżny Kobryńskiej, a potem, trzęsąc wzniesionym palcem, jak kaznodzieja, zaczął mówić:

— Chociaż księżna nie poznaje mnie, miałem już dawno zaszczyt być jej przedstawiony. Otóż teraz, gdy państwo zjeżdżacie na Rivierę, musicie mnie znać i być przekonani o mojej niezbędności. To jest mój kraj, i beze mnie obejść się tu nikt nie zdoła. Chyba — rzekł z wielkim gestem komicznie-desperackim — chyba, że chce tu przepaść! Kochana księżno! proszę mi wierzyć i poddać się memu kierownictwu. Zaraz na wstępie zapytuję: gdzie państwo dzisiaj jedzą obiad?

Księżna, trochę ogłuszona tym potokiem słów, obejrzała się na brata i na innych, ale, widząc twarze wesołe, tłumacząc, że Słuszka inny być nie może, odpowiedziała:

— Mieszkamy tutaj, w hotelu Paryskim, i tam zapewne będziemy na obiedzie.

— Składa się wybornie. Opatrzność to przewidziała, a ja zawsze mówię, że moja rola na świecie ogranicza się do pomagania Opatrzności. Nie zastępuję Jej, pomagam tylko. Otóż, upraszam o uważne posłuchanie... Panie Rubenson! proszę mi nie przerywać! Pan Rubenson, przyjaciel nas wszystkich, daje dzisiaj obiad dla margrabiów d'Anjorrant w oszklonej galerji tegoż hotelu Paryskiego, w którym pani zamieszkała, i zapytuje najuprzejmiej, czy księ-

stwo Kobryńscy nie zgodziliby się przyjąć zaproszenia na ten obiad?

Rubenston skłonił się i powtórzył zaproszenie, godząc w księżnę wzrokiem, na który tylko zdobyć się mógł wyżeł, gdyby miał nos niepomiernie rzymski.

— Ależ... państwo zbyt są uprzejmi... ledwo wysiedliśmy z wagonu... nikogo nie znamy.

Słuszka znowu przybrał ton komicznego nakazu:

— Skoro śmiem do państwa się wstawić, trzeba mieć przekonanie, że propozycja jest możliwa i, co więcej, ponętna. Nie można lepiej rozpocząć tutaj sezonu, niż na obiedzie pana Rubensona, w galerji hotelu Paryskiego.

Wtrącił Rubenson:

— Nie jemy dzisiaj u Noël'a i Pattard'a, bo całe towarzystwo przyjechało z Nizzy po śniadaniu i jest w strojach porannych; nikt się nie przebiera. Zwykle jadamy u Noël'a i Pattard'a.

— Ja tu przyjechałam dla zdrowia, bez tualet — broniła się zakłopotana księżna.

— Właśnie dlatego prosimy księżnę o pozostanie w tej ślicznej sukni. Właśnie dlatego tak to urządzamy — dodał Rubenson, zadowolony z pomysłu, choć było widoczne, że nie dla Kobryńskich, lecz uprzednio postanowiono poranne ubrania z powodu niemożliwości ich zmienienia.

Książe Władysław, rozejrzawszy się w sytuacji i zapewniony o udziale pięknej Fernandy, odezwał się stanowczo:

— Bardzo panu dziękuję za uprzejme zaproszenie; nie omieszkamy się stawić, księżna i ja.

Tę przemoc mężowskiej władzy księżna przyjęła z poddaniem, z nieokreślonym uśmiechem, w którym nad wielu, wielu dystynkcjami górowała jednak pogoda duszy.

Skoro po różnych jeszcze wymienionych grzecznościach, Kobryńscy znaleźli się z Jerzym na placu przed Kasynem, Terenia drżała od wrażeń, wzruszeń i od zapachu kwiatów, świeżo polanych wodą, roznamiętnionych przez nadchodzący wieczór:

— Co za wir! jaki szał w tym sztucznym raju! Czuję się tu podszepty wszystkich pokus, a przytem wdzięczność dla Pana Boga, że ten piękny kraj dla nas stworzył...

Ponieważ ani w sercu męża, ani nawet brata nie znalazła odgłosu, stłumiła westchnienie do Stwórcy i, stosując się do poziomu mężczyzn, zapytała:

— Ale czy wypada obiad przyjmować od Rubensona... od tak mało znajomego Rubensona?

— Tu się tak robi. Tu wszyscy żyją łatwo i razem, w salach gry, na tym placu, w tej galerji...

Jerzy wskazał laską parterowy taras hotelu Paryskiego, na pół otwarty, na pół oszklony. Księżna spojrzała pożądliwie przez lornetkę.

— Więc tutaj to się odbędzie?...

Słońce znikło już i szafirowe przesłony padły na góry; na placu zajaśniały latarnie, zapaliły się oczy Kasyna, hotelów; galerja Karola III-go oznaczyła swój kierunek elektrycznym pasem, zawieszonym w pół góry; a na różnych wysokościach poczęły się

iskrzyć światełka odosobnionych mieszkań ludzkich, tem czerwieńsze, im dalsze, tem bardziej nęcące, im wyższe, aż do grzbietu skał, nad którym blado-fosforyczne rozmnożyły się gwiazdy.

Na morzu stalowo damascenowanem, srebrne ognisko księżyca ogromniało coraz jaskrawiej, a po pięknej linji wybrzeża, roztopionej już w spadającej ciemności, pobiegł wąż sztucznych świateł i przystroił krainę do uciech nocnych.

Mimo chłodniejszego powiewu od morza, Kobryńscy z Jerzym przechadzali się długo, oddychając emanacjami klimatu, pasąc oczy widokiem, i Terenia, prawie natchniona, mówiła rzeczy bardzo podniosłe. Aż nareszcie Władysław odłączył się od grupy, a siostra pozostała sam na sam z bratem.

Tymczasem obiad Rubensona przygotowywano w hotelu Paryskim z pewnemi modyfikacjami, których przyczyną było, że obie Amerykanki, margrabina i lady Cosway, wróciły pociągiem do Nizzy. Słuszka, autor pomysłu, spierał się z d'Anjorrantem:

— Jak można Rubensonowi psuć obiad w ostatniej chwili?

— Djabeł go wiedział, że nas zaprosi do tej oszklonej klatki, niby na pokaz wszystkim sezonowym gapiom, i że użyje nas do zareklamowania pięknej Fernandy. A nie! Dwa razy dziennie wystawiać moją żonę i bratową na takie towarzystwo, dziękuję.

— A na balu maskowym mogłeś na kolację z temi paniami zaprosić Emilienne d'Alençon i de Vriès?... — ozwał się Eustachy rozgoryczony.

— Mogłem! To była ekscentryczność. Tutaj zaś widzę wyraźnie zamiar pani de Sertonville wkradania się do sfer, w których nigdy nie była i za moją pomocą nie będzie.

— Jakieś napadło cię katońštwo, Raulu. Z przeproszeniem jadałem już u ciebie obiady, w Paryżu i tutaj, z paniami, o których kronika...

— Eustachy! Naucz się jeszcze jednego pewnika. Nie zamykam swego domu przed naszemi krewnemi, które co do obyczajów współzawodniczą z kokotami; to jest miłosierdzie. Ale nie wprowadzam kokot, kandydatek na damy, do salonu mojej żony. *C'est une affaire de tenue.*

— Masz jakieś uprzedzenia co do pani de Sertonville, których nie rozumiem. Jest przecie dobrze urodzona i naprawdę zamężna. I ja wiem o jej niektórych wycieczkach do zakazanych rajów, ale, mój Boże, tutaj... Nie możesz mnie mieć za naiwnego. Ja także coś wiem.

— Dowiesz się, czasem jeszcze dużo więcej.

Nie było sposobu zmienić postanowienia margrabiego. Zatem Słuszka poszedł tłumaczyć Rubensonowi, że pani d'Anjorrant i jej siostra nie mogą tu zostać na obiedzie z powodu przeróżnych kombinacyj dyplomatycznych, z których bankier zrozumiał tylko tyle, że nie będą, i zasępił się:

— No, a co teraz?

Słuszka wymyślił na poczekaniu dwie zastępczynie. Jedną była stara księżna della Robbia, autentyczna dama włoska, której namiętność do gry starczyła za wszystkie inne przyjemności i względy

światowe. Ta przyjmie łatwo zaproszenie, bo już je nieraz przyjęła, a bliskość restauracji od Kasyna znęci ją, bo będzie mogła, nie zmieniając sukni, prosto od gry wstąpić na obiad i zaraz po obiedzie do gry powrócić. Drugą kandydatką została hrabina Puckelswart, ładna Niemka, krewna Schwinda, który i tak już był proszony.

Obie panie przyjęły propozycję. D'Anjorrant także pozostał i narzekał przed Rubensonem na swoje panie, że te Amerykanki mają swe przyzwyczajenia, od których nie odstąpią. Nakręcone są jak zegarki. Dla nich obiad bez stosownej tualety równa się nieszczęściu.

Tymczasem Kobryński wstąpił do sali gry i wyniósł z niej trzy tysiące franków. Był w wysokiej temperaturze ducha, zwłaszcza po rozmowie z Fernandą, bardzo obiecującej; szukał teraz żony, która, ciągle natchniona, włóczyła za sobą Jerzego po tarasach, po drogach płaskich i stromych. Gdy ich spotkał nareszcie, zauważył wyraz Tereni uroczysty, używany tylko w chwilach przełomowych, i wyraz Jerzego, przybity, pośredni między żalem za grzechy a znudzeniem.

— Władziu — rzekła Terenia, nie zważając na inne słowa męża — radosną mam dla ciebie nowinę: Jerzy, na moje nalegania, porzucił ostatecznie ową pannę Kulig. Uczynił to dla nas — i poświęcił ją.

— Winszuję — odrzekł szwagier i wstrząsnął ręką Jerzego.

— A teraz nasz pobyt tutaj...

— Co? nasz pobyt?... — zawołał Kobryński srodze zaniepokojony. — Nie wyjedziemy przecie zaraz?!

— Nie zrozumiałeś. Nasz pobyt tutaj ma jedynie na celu zdrowie. Nie mówię już o mojem, ale o moralnem zdrowiu Jerzego. Ja wyleczę jego serce; ty, Władziu, pomożesz mi.

— Ile tylko sił starczy! — wybuchnął Kobryński, odkrywszy w sobie skarby uczuć familijnych, z których dotychczas nie zdawał sobie sprawy.

VIII.

Chemik, któryby wziął pod obserwację małżonków Kobryńskich w dziesięć dni po przyjeździe, mógłby ciekawe zapisać spostrzeżenia, jak wielkie ognisko montekarlijsko-nicejskie okwasza i przekształca szlachetny skądinąd metal, wykopany w Polsce, zahartowany nawet w święconej wodzie ze źródeł Chojnogórskich. Zmiany te zresztą uwydatniały się głównie na powierzchni, nie dotykając wewnętrznej wartości kruszcu.

Władzio oględniej obchodził się z monoklem i swoją „wyższość" opierał już na innych zasadach, zapożyczonych trochę od Słuszki, trochę od d'Anjorrant'a. Ubierał się dużo staranniej, popadł tylko w inną ostateczność: ubierał się za dobrze. Grał coraz grubiej, a pochop do tego dawały mu zwłaszcza częste współki z panią de Sertonville, która przegrywała zawsze; potrzebował więc i te straty

powetować i na swój rachunek coś wygrać. A to, coby wygrał, oddałby także, gdyby nadarzyła się sposobność, pięknej wspólniczce namiętności do gry, towarzyszce różnych uciech, niestety niewinnych. Biedna Fernanda przyznała mu się bowiem do wielu wad, a między innemi do tej, że lubiła grę niepomiernie. Ale była tak piękna, tak pociągająca tajemnicą swego życia, że wada ta uwydatniała tylko przez sprzeczność jej fizyczne i moralne zalety.

Księżna Teresa, bardziej wyrobiona od męża, zmieniła mniej swą powierzchowność; kupiła tylko kilkanaście kapeluszy i wynalazła mieszaninę perfum, zastosowaną do jej nowych pragnień. Czuła się bowiem znacznie zdrowszą i dużo młodszą; zakwitło w niej pragnienie jakiejś rozkoszy, jakichś obcowań z nieznanemi duchami rodzaju męskiego w granicach przez zasady dozwolonych. Bo też otaczały ją liczne pokusy, z któremi postanowiła igrać, aby wypróbować swe siły, a sił swoich moralnych była zupełnie pewna. Słuszka, „miły tyran“, krytykował jej stroje, kierował jej dietą, wybierał jej przyjemności, dyktował potrzebne wizyty, a chociaż czynił to samo dla wielu innych pań i dla niektórych mężczyzn, zdawało się, że dla niej miał serce miększe, że dowcip jej zastanawiał go, że ulegał jej dystyngowanemu wdziękowi, oddając mu hołd, rzecz dziwna, nieśmiały. Mawiał zresztą:

— Księżna Teresa jest jedną z moich najlepszych uczennic. Przechodzi nawet moje wymagania.

Inni też mężczyźni byli żywo zajęci postacią księżny. Schwind, gdy mu brakło pieniędzy do gry, lubił z nią rozmawiać, bo mówiła bardzo dobrze po niemiecku. Zakopiański znalazł w niej „opalowe promienie naszych starych świątyń“, a nadto dziwne podobieństwo do jednej postaci, którą przypominał sobie z fresków, gdzieś kiedyś widzianych, może w preegzystencji. Zakopiański nie był zgrabny i księżna go nie lubiła dla jego poufałości i wybryków retorycznych. Ale należał też do „podbitych“.

Tylko legenda o nabożeństwie Lenbacha do mistycznej piękności Teresy Kobryńskiej nie znalazła na Rivierze powodzenia. Nie chwytano tego subtelnego stosunku między mistrzem a wzorem. Prawda, że znano tu mało Lenbacha, widziano tylko wzór.

Do rzadkich mężczyzn, którzy nie ulegli wdziękowi księżny Teresy, należał d'Andjorrant. Żałowała go, bo to człowiek wielkich zdolności, ale suchy, nieczuły na piękno, na bogactwa duchowe; pozytywizm i egoizm pochłaniają go.

Dużo też kobiet zaprzyjaźniło się z księżną Kobryńską, jedne poprostu widząc w niej niepodejrzaną sojuszniczkę dla wyzyskania tutejszych zabaw (o! jakże się myliły!); drugie, zaślepione swą pięknością, nie dostrzegały niebezpieczeństw współzawodnictwa z subtelniejszym, choć mniej wyraźnym typem piękności księżny. Pani de Sertonville okazywała jej tyle uległości i względów, że niepodobna było jej nie lubić; gniewało tylko Te-

renię, że Fernanda zwracała się do niej zawsze z takim odcieniem uszanowania, jakby mówiła do starszej od siebie. Ile miała lat Fernanda? niewiadomo; była w pełnym rozkwicie piękności. Ale Terenia była znów tak młoda sercem, no i wogóle, że śmiało mogła się poczytywać za młodszą od braci, choć była najstarsza z rodziny.

Na pozór, pośród ciągłych zabaw, obiadów, wycieczek, pozostawało mało miejsca na zajęcie się głównym celem wyprawy do Nizzy, ratowaniem Jerzego. Ale było to tylko pozorne zamieszanie. Terenia miała tego ćwieka głęboko zabitego w głowie, jeżeli tak godzi się wyrazić o najszlachetniejszym zamiarze.

— Dajmy wypadkom przepłynąć, dajmy zabliźnić się ranom — mówiła do męża. — Jerzy poświęcił już dawno swe uczucie, ale uczucia są jak arabskie wonie, które trzeba wywabiać innemi silnemi zapachami. Tutejsze życie go bawi, zagłusza i leczy. Może też wpływ pani de Sertonville, z którą Jerzy coś ukrywa, podziała zbawiennie. Ta pani byłaby niebezpieczna, ale że to kobieta przelotna, zamężna...

Książę Władysław skrzywił się.

— Zdaje mi się, że masz błędne pojęcia o hrabinie de Sertonville. Mówiłem z nią o Jerzym; jestem przekonany, że nic tam nie było między nimi. To jest kobieta bardzo nieszczęśliwa, a przytem bardzo piękna i wielkiej inteligencji. Nie dziw, że Jerzy, jak każdy, jest pod jej urokiem. Poeta, a ona tak... do wszystkiego: do wiersza, do żartu,

do rulety, do salonu... Jednem słowem: do wszystkiego.

— Jerzy taki piękny! — westchnęła księżna, tłumacząc nieubłaganą konieczność jego wpływu na kobiety.

— Piękny?... No tak — odparł Kobryński, wydymając pierś efektownie. — Zapytałem ją poprostu o Jerzego.

— Zapytałeś?!

— Dyplomatycznie objeżdżałem ten przedmiot, aż nareszcie dałem jej się domyślić, o co chodzi. Żebyś widziała, jakim wybuchła śmiechem! Tak, lubi poetów, bardzo lubi Jerzego, ma nadzieję, że i on dla niej ma trochę przyjaźni. Ale potem... no, niewarto opowiadać.

— Cóż potem? muszę przecie wiedzieć.

- Tylko nie mów nikomu, Tereniu, bo mogłyby powstać plotki. Potem jak zaczęła naśladować Jerzego deklamującego, myślałem, że umrę ze śmiechu. Tak, wiesz? rączka na kamizelce i wzrok błędny...

— Ależ to wcale nieładnie z jej strony.

— Raz się tylko przytrafiło. Byliśmy podochoceni. Pamiętasz, wtenczas, kiedyś to ty pojechała z panią Puckelswart, a ja zostałem na śniadaniu w Beaulieu? Zresztą bardzo Jerzego ceni. A ze mną gada swobodnie, bo ja, wiesz? jestem dobrym towarzyszem, mnie tam amory nie w głowie, ani poezja; mam umysł raczej filozoficzny.

Księżna zaczęła coraz pilniej przyglądać się mężowi.

— Moja Tereniu! patrzysz na mnie jak sędzia śledczy. Może mnie posądzasz o jakie niedozwolone stosunki z Fernandą? Mogę ci dać słowo honoru...

— Nie żądam, nie żądam. Zaciekawia mnie tylko ta pani. Muszę sama trochę bliżej jej się przypatrzyć.

Kobryński był nierad z siebie po tej rozmowie. Chciał być dyplomatą, a odsłonił się niepotrzebnie. Pal licho Jerzego, ale on sam zwrócił na siebie uwagę. Chociaż nie obawiał się zazdrości Tereni, „wzorowej kobiety i bez temperamentu“, nie chciał bynajmniej jej oznajmiać, że do Fernandy czuł pociąg niepohamowany, codzień gwałtowniejszy, nieuwieńczony jednak wzajemnością.

W parę godzin potem spotkał ją znowu przy grze w „trente et quarante“. Piękna Hiszpanka siedziała przy stole z Rubensonem i grała kupami biletów bankowych. Postać jej prosta, oczy szeroko otwarte i wpatrzone w palce krupiera, wargi aż krwawe od zagryzania, nie wyrażały słodkich uczuć; owszem, nadawały jej pozór walczącej Judyty.

Wspólnik był tuż obok i przez złote binokle śledził równie uważnie układ kart i palce ciągnącego krupiera.

Kobryński poczekał na jakąś wygraną, aby nie narażać się na złe przyjęcie. Podszedł ztyłu do krzesła Fernandy i szepnął:

— Ho, ho! co tu za gra!

Przechyliła się i w mgnieniu oka zmieniła wyraz

twarzy; znowu stała się czarną kotką, pełną wstydliwych ponęt.

— To dla niego.

Wskazała głową na Rubensona.

Kobryński stanął cicho za krzesłem, przypatrując się dalej grze, której rozmiary zwracały uwagę całej skupionej czeredy ludzi. Wielu nawet przestało grać, aby się tylko przypatrywać. Na stole, obok maksymalnych stawek Rubensona, błąkały się tylko rzadkie sztuki złota, przeważnie starych kobiet lub wyblakłych jegomościów, których tu znano od wieków. Inni starali się „iść za weną“ grubego gracza i stawiać tam, gdzie on postawi.

Po rozegraniu „coup“, szwadron krupierów zbierał cicho pieniądze wygrane przez bank, lub wypłacał ostentacyjnie i głośno wygrane przez publiczność.

— Oto są, panie, dwanaście tysięcy za dwanaście tysięcy. Czy mam je podać pani?... Proszę robić grę... masa asekurowana... *Rien ne va plus!*

Właściwie grał bank z Rubensonem. Inne stawki załatwiano pogardliwie, w milczeniu. Czasem zaszła sprzeczka o parę ludwików, które ktoś drobny chciał sobie przywłaszczyć z krzywdą innego gracza lub banku. Wtedy „naczelnik partji“ szacował szybko tego, który wszczął sprzeczkę, mając mniej więcej o wszystkich obecnych dokładne policyjne informacje, rozstrzygał spór grzecznie i pośpiesznie. W razie niepewności, krupier płacący rzucał żądane pieniądze z lekkim wzruszeniem ramion. Ale właściwa walka toczyła się między wysokimi stró-

żami złotego domu a Rubensonem. Do niego zwracały się głowy sześciu krupierów, gdy odzywał się krótkim rozkazem.

— Asekurować masę... Przeprowadzić na czerwony...

Do Fernandy, przewracającej zwinną rączką bilety, zdążały pochlebne uśmiechy tychże wysokich stróżów.

— Czy pani raczyła postawić masę konno na *inwerse* i czerwony, czy tylko na czerwony?

— Na czerwony.

— Rozumiemy.

I ćwierć miljona obrotu na kwadrans, w jednej talji, migało się w oczach pożądliwego tłumu.

Do Kobryńskiego dochodziły ciche uwagi „galerji“ po rozegraniu każdej stawki:

— Znowu wygrał? co?... kanalja! Bank rozniesie.

— O co panu chodzi? Litujesz się pan nad bankiem? nad panem Blanc? nad dobrym księciem?

— A niech ich djabli! Ale dlaczego Żyd wygra, a porządny człowiek nigdy?

— Krupierzy są przez Żyda opłaceni.

— Co pan opowiada! Tutaj jest kontrola bezwzględna i nieomylna.

— Uważajmy. Znowu maksymum...

Rubenson wygrywał. Rączki pani de Sertonville uwijały się w kierunku od środka stołu do uśmiechniętego towarzysza i sprawiały się dokładnie, chociaż tak lekko i niedbale. Nareszcie Rubenson doszedł do zamierzonej na dzisiaj cyfry i odepchnął

się od stołu. Rzucił paręset franków w formie gratyfikacji spoconym krupierom, którzy przyjęli je z głośnem „podziękowaniem panu baronowi".

Fernanda pociągnęła Kobryńskiego za sobą do *atrium*.

— Wracam dziś z panem do Nizzy powozem.

— Ze mną?! Służę z radością. Pozwoli mi pani odpowiednio urządzić się.

— Mam swój powóz, obstalowany na godzinę jedenastą, po obiedzie.

— To już nie będę mógł powrócić pociągiem do Monte Carlo?

— Czy pan chce wracać?

Proste to zapytanie wypowiedziała naturalnie, nie zajrzawszy nawet w oczy Kobryńskiemu, ale on patrzył ciągle w jej oczy i spostrzegł w nich fosforyczną iskrę niepewną, może trochę ironji?...

— Pojechałbym za panią na kraj świata i wiecznie z nią pozostał!

Teraz pani de Sertonville spojrzała na wielbiciela, który wysilił spojrzenie i wąsy podkręcił jeszcze wyżej, jakby je odgarniając do pocałunku.

Odezwała się łaskawie, ale zimno:

— Jesteś pan przyjemny.

— Pani nie może dostatecznie ocenić, jakiego ma we mnie przyjaciela i sługę. Gdyby chodziło o największe poświęcenie, o życie, o zabójstwo...

— Tra la, la... proszę mówić trochę ostrożniej, bo ludzie blisko. Nie wymagam poświęceń; proszę, aby mi pan towarzyszył do Nizzy w moim powozie.

— Któżby to śmiał nazwać poświęceniem! Ja

mówię wogóle, że odkąd panią poznałem, nie marzę już o niczem, tylko o widoku pani; szukam sposobów zasłużenia się jej; chciałbym dowieść, że mogę się na coś przydać...

Fernanda przysłoniła oczy długiemi rzęsami i przesunęła po wargach koniec języka, co było u niej oznaką zamyślenia o rzeczach ponętnych.

— Pomówimy w powozie. Będziemy mieli pięc kwadransów czasu.

— A godzina... nasza czy kiedy wybije?... Fernando? — szepnął Kobryński, tracąc zupełnie głowę

— Mości książe! znam tylko moje godziny. Nie dzielę się niemi.

— Pani hrabino nie jestem zgrabny, ale gotów na wszelkie rozkazy.

— Niech się pan zatem napije limonady i będzie gotów przy „czerwonej bramie“, o jedenastej, na zgrabne wskoczenie do mego powozu. Trzeba być zgrabnym — inaczej... pojadę sama.

Kobryński skłonił się już tylko. Przez resztę dnia chodził, jak pijany, pożyczał pieniędzy zgrabnemu rodakowi, którego dotychczas starannie unikał, wymyślił konieczność jechania do Nizzy na partję klubową, która potrwać może aż do rana, a o pół do jedenastej tak serdecznie uścisnął żonę, jakby jej miał do zawdzięczenia tę podróż nocną z Fernandą.

Puszczał się jednak na niepewne szlaki,

IX.

Fale życia, chociaż tak gorące i barwne na Riwierze, są przecież nadzwyczaj równe: strój ranny i wieczorny, uczta i gra, dzień i noc, szafir i księżycowy błękit, kołyszą się w ściśle określonych granicach odchylenia. w atmosferze, nasyconej durem upajającym. Bywają jednak nadzwyczajne wypadki w tem życiu. Nie to, że umrze czasem jaka młoda suchotnica w Mentonie, lekko, żegnając bla-demi oczyma świat błękitny. Nie to, że jakaś większa dusza, zabłąkana tutaj, trochę się zapomni, trochę się zaszarga i spodleje. To są wypadki pospolite, mieszczańskie, o których nie wspomina żadna nicejska gazeta, nikt nie mówi, nikt nie słyszy. Ale zdarzają się wypadki w prawdziwem wyższem towarzystwie, prujące monotonję fali jasną smugą; o tych się mówi, pisze, drukuje, o tych warto złożyć dokładną kronikę.

Do takich wypadków należała uczta, dana przez d'Anjorranta na pokładzie jego własnego jachtu „Dieumafoi".

Margrabia nosił się już z tą myślą od tygodnia i raz w gronie znajomych pojechał obejrzeć śliczny swój statek, stojący w porcie Villefranche pod Nizzą. Włożył na tę okazję czapkę oficera marynarki francuskiej, nadającą mu pozór tak rycerski, że gdy wszedł na wysoką przerzutkę i ukazał się swemu narodowi, muzyka wojskowa w nadbrzeżnej cytadeli zagrała Marsyljankę. Powstało kilka patrjotycznych okrzyków, margrabia zaś uśmiał się

szczerze z całem swem towarzystwem. Doskonałe śniadanie, niby codzienne, spożyto w sali jadalnej, mogącej pomieścić 24 osoby. Ale był tylko d'Anjorrant z żoną i jej siostrą, hrabina de Nielles, Słuszka, Kobryńscy, Dubieński, dwaj malarze Włosi, właścicielka sklepu kwiatów z Nizzy, młoda jeszcze i piękna, której margrabia mówił: „*ma petite la Fleur*“ i kilka osób podrzędnych. Była to bowiem narada wstępna, techniczna, nad urządzeniem zabawy na jachcie, na którą miały być zaproszone 24 osoby dobrze wybrane.

Ci, którzy znajdowali się dzisiaj, oprócz kwaciarki i osób podrzędnych, byli już przez to samo zaproszeni na przyszłą zabawę i czuli się dumni z tego powołania. Jacht d'Anjorranta miał się stać niebawem pływającym rajem, do którego wstęp będzie nagrodą za wybitne, osobiste lub dziedziczne zasługi, za życie pod pewnym względem nieposzlakowane. Kandydatów proponowali Słuszka i ładna hrabina de Nielles, posiadająca wpływ na d'Anjorranta. Za jej protekcją dostał się zaraz na pierwsze posiedzenie Jerzy Dubieński, a pośrednio i Kobryńscy. Jerzy miał powodzenie u kobiet na Rivierze; dla jednych był przystojnym chłopcem, dla innych poetą. Miał też zwyczaj okazywać każdej ładnej kobiecie, że gotów jest dla niej posunąć się do szaleństw i poświęceń, a taka gotowość, zręcznie zaznaczona, nie obraża nigdy tej, do której się stosuje.

Margrabia decydował oczywiście w ostatniej instancji o wyborze zaproszonych; margrabina zaś

zachowywała się bierniej. Raz tylko dała swój głos za Zakopiańskim, którego niedawno zaprosiła do Francji na bażanty. Ale d'Anjorrant oburzył się:

— Ani na polowaniach, ani na jachcie ten pan u nas nie będzie.

— Raulu! To jest znany pisarz, o którym czytałam nawet w naszych gazetach.

— Niech go drukuje, kto chce, ale *Monde Elégant* nie umieści w sprawozdaniu, że na moim jachcie była ta nieostrzyżona małpa.

Wszyscy byli tego samego zdania. Jerzy zaś odczuł tem większą przyjemność, że na jacht jest już proszony, zaś do bażantów lady Cosway zniechęcił się ostatecznie.

Opuszczano już statek. Panna „la Fleur“, dostawszy instrukcję, jak ma być przystrojony pokład, żegnała się z towarzystwem, zasypując je kwiecistemi słowami, z tą ładną szczebiotliwością Francuzek, której tylko brak treści, aby się stała wymowną. Mężczyźni podali jej rękę, za przykładem margrabiego. Panie łaskawie skinęły głowami.

Na lądzie, trochę opodal gromady, przyglądającej się jachtowi, dwoje ludzi czyniło to samo: przyglądało się. Ale strojna postać kobieca była zbyt ładna, aby ujść uwagi znawców.

— Patrzcie, jaka pyszna kobietka na brzegu! — odezwał się żywo d'Anjorrant.

Wszyscy zwrócili oczy na nieznajomą, a najciekawiej spojrzały na nią panie.

— Malowana! — rzekła margrabina.

— Która to? — szukała księżna Kobryńska przez lornetkę — ta na boku? Nic szczególnego.

— *Effet de voilette* — dodała pani de Nielles.

Dubieński najprzód poznał mężczyznę po jego głębokiem, daleko działającem, spojrzeniu; niebawem obok Fabjusza poznał panią Oleską.

— To znajomi, Polacy.

— Prawda! — zawołał Kobryński — piękna pani Oleska i nieodstępny Fabjusz.

— *Bigrement jolie!* — syknął d'Anjorrant przez zęby.

Amerykanka, Polka i Francuzka zgodziły się bez namysłu, instynktownie, na krytykę kobiety, stojącej na brzegu. Wszyscy mężczyźni byli wręcz przeciwnego zdania. Stąd wnosić można, jak wyglądała pani Oleska w jasnej sukni, z dużą woalką, odrzuconą na kapelusz. Wietrzyk tylko bezstronny, muskając po świeżej twarzy, chłodząc gorące jej ciemne oczy, znajdował przy tych zajęciach wdzięczną rozrywkę.

— Czy to mąż tej pani? — zapytał d'Anjorrant Dubieńskiego.

— Nie, krewny tylko. Pani Oleska jest wdową.

— Przedstaw mnie pan.

Margrabia słuchał informacyj o pięknej nieznajomej z grzeczną pogardą, która była stałym wyrazem jego twarzy; lekkie tylko drganie około ust znamionowało niecierpliwość lub ciekawość. Wsiadł pierwszy do łódki, przewożącej towarzystwo na ląd.

Ponieważ wymieniono już zdaleka ukłony, Fabjusz oczekiwał na lądzie zbliżających się mężczyzn, a twarz pani Oleskiej pokryła się widocznym rumieńcem, który namalować tak naprędce mogła tylko młoda krew na bardzo delkatnej skórze. Przedstawienie d'Anjorrant'a odbyło się naturalnie, niby mimochodem. Kobryński poczuł się trochę dumnym, że zna panią Annę. Słuszka zapoznał się także i, zanim obmyślił program wychowania nowej pupilki, milczał. Wkrótce spotkały się znajome panie, a mianowicie księżna Teresa z panią Anną, zaczem wypadło przedstawić panią Oleską margrabinie, i po kilku minutach Fabjusz i pani Anna zostali niespodziewanie wciągnięci w kadry lekiej marynarki francuskej.

Niebardzo wiedziano z obu stron co mówić, ale kapitan okrętu d'Anjorrant objął i na lądzie dowództwo z bezczelną swobodą, która w jego ustach mogła uchodzić za wytworność. Rzekł do Fabjusza i do pani Anny:

— Kiedy los nas połączył przy tem szczęśliwem wylądowaniu, bądźmy towarzyszami. Proponuję państwu jakąś wspólną wyprawę, mam jacht, mam balon... samochód czeka na szosie...

Fabjusz nie odpowiedział nic, spojrzał na panią Annę, ona zaś na niego, przyczem zarumieniła się znowu mocno, zakłopotana może mniej przez propozycję, niż przez oczy wszystkich mężczyzn, poddańczo ku niej zwrócone. Panie zaczęły się nudzić i zabierać do odwrotu. Księżna Teresa zapytała słodko:

— Kochana pani jak przyjechała do Villefranche?

— Przyszliśmy piechotą.

Pani Oleska wysunęła z pod sukni zgrabny trzewik, pokryty białym kurzem. Zadzwonił śmiech jej młody, udzielający się, mniej wstrzemięźliwy, niżby ogólna powaga jej postaci pozwoliła się spodziewać. Wszycy na to hasło zmuszeni byli co najmniej uśmiechnąć się.

— Co za myśl! — zawołał wesoło d'Anjorrant: — wrócimy piechotą do Nizzy. W takim kraju nie chodzić piechotą to wstyd.

Panie zaprotestowały. Iść przez brudne uliczki Villefranche, a potem przez zakurzoną szosę? A przytem wiatr dzisiaj. A przytem nie mają grubych trzewików.

Większa część towarzystwa wsiadła więc do samochodu i do dwóch powozów. Przy pani Oleskiej pozostali, obok Fabjusza: d'Anjorrant, Słuszka i Dubieński.

— Utworzymy pani honorową eskortę — rzekł margrabia i zabrał się sprężyście do marszu.

Okazało się, że pani Oleska wyniosła się z Cannes i mieszka od kilku dni w Nizzy, na boulevard Gambetta pod platanami. Mieszka tam z córeczką i starszą damą do towarzystwa. Fabjusz pozostał w Antibes.

— Cannes takie smutne miasto — tłumaczyła się pani Anna! — tyle tam wózków z chorymi, taki szpitalny spokój i obojętność dla pięknego kraju... Ja lubię życie.

— Nic od życia lepszego dotąd nie wymyślono — odpowiedział d'Anjorrant. — Jeżeli pani zechce, będziemy przewodnikami i nie najgorszymi. Mamy w ręku wszystkie bilety wejścia, jakich tylko pani zapragnie.

Na podobieństwo osób panujących, d'Anjorrant używał liczby mnogiej, mówiąc wyłącznie o sobie, lecz czynił to nie dla majestatu, tylko przez wzgląd na towarzyszów, których miał za dzieci i za naiwnych naśladowców.

Ale pani Oleska przyjęła te ofiary bez zapału.

— Dziękuję panu bardzo. My tu jesteśmy dla odpoczynku, dla przyglądania się. Czy nie prawda, Fabjuszu?

Liczba mnoga w jej przemowie znowu co innego znaczyła. Margrabia obrzucił Fabjusza wstrzemięźliwem, ale złem spojrzeniem. Odpowiedział:

— My tu także odpoczywamy i przyglądamy się. Ale przyglądamy się życiu tutejszemu z wewnątrz, to ciekawsze.

Fabjusz, który dotychczas mało mówił, odezwał się i zadziwił nieznajomego swą płynną francuską wymową.

— Wielkie słowo, margrabio. Studjować życie można tylko z wewnątrz, trzeba je przeżyć. Ale życie tutaj jest zbyt gorące, a za mało ujęte w jakąkolwiek etykę. Tylko bardzo silne i dobrze opancerzone indywiduum może je zgłębić i wyjść cało z tych czeluści.

Margrabia, chcąc nie chcąc, zwrócił swą odpowiedź do Fabjusza:

— Proszę nas nie brać ze strony tragicznej. Nie jesteśmy niebezpieczni. Jak pani, jak pan, bawimy się, obserwując tutaj głupotę ludzką, ujętą w doskonałe ramy.

— Dlatego też mówię — odparł Fabjusz dworsko — że znajdować się *wewnątrz* tych ram jest dla nas niepodobieństwem.

D'Anjorrant zająknął się na sekundę, czując potrzebę jakiejś odpowiedzi, ale szybko obrócił rozmowę w żart:

— Bądźmy więc wszyscy na zewnątrz. Dość mamy dozwolonych rozrywek. Słuszka da pani cały ich program z nadzwyczaj barwnym komentatrzem. Gdyby nawet pani pragnęła dotknąć jednym małym paluszkiem grzesznej zabawy w ruletę, Słuszka odsłoni przed panią tajemnice gry, gdyż gnomy rulety nawiedzają go, jak twierdzi, przyczem zabierają mu zawsze pieniądze.

— Pozwól, Raulu!...

— Na później, mój drogi. Pan Dubieński zaśpiewa pani o cudach tej ziemi i morza, które zresztą widzimy, ale które w jego wierszach mają być jeszcze piękniejsze, w co łatwo wierzę, znając autora, a nie rozumiejąc jego wierszy. Ja zaś także na coś się przydam, jeżeli usługi moje mogą być pani przyjemne.

Pani Anna obróciła się w marszu do Fabjusza, ale gdy ten nie dał żadnego znaku porozumienia, odpowiedziała margrabiemu:

— Nie można być uprzejmiejszym... Skorzystam przy pierwszej sposobności z protekcji panów... Te-

raz wybieram się jeszcze z moim kuzynem na rozmaite wycieczki. Może potem... Czy margrabina mieszka w Nizzy?

— W willi naszej na Promenade des Anglais, o kilkaset kroków od pani.

Tak płynęła rozmowa, a przestrzeń od Villefranche do Nizzy skracała się szybko, gdyż pani Oleska szła sporym krokiem, dając wrażenie, że albo jej wysoka i kształtna postać jest bardzo lekka, albo mięśnie, które ją poruszają, wybornie i estetycznie pełnią swe przeznaczenie. Silniejszy dzisiaj powiew od morza łagodził upał promieni słonecznych; po niebie przepływały zresztą rzadkie chmurki, od których szafir morza płowiał i plamił się, to znów się roziskrzał tak silnie, że piesza drużyna przymrużała oczy i osłaniała je, czem mogła. A pani Oleska szła ciągle równym krokiem, z równym rumieńcem na białej twarzy, który dowodził, że suknia, choć tak ładnie leży, jest luźna w pasie i wygodna. Mężczyźni oceniali coraz bardziej, że prawdziwy a nieznany dotąd klejnot zjawił się na wielkiej wystawie sezonowej. Im więcej mówiła, im dalej szła, tem bardziej zajmowała sobą. Gdy podeszli pod wzgórek na szosie, a pani Anna nie dała po sobie poznać zmęczenia, Słuszka zatrzymał się, załamał ręce i zawołał:

— *Quelle marcheuse!*

— O! o! — bąknął d'Anjorrant, udając zgorszenie.

Porozumieli się między sobą tajemniczym półuśmiechem, który znikł im z twarzy, gdy pani Ole-

ska zapytała poważnie, wcale nie rozumiejąc dwuznacznika:

— O co panom chodzi?

— Niech nam wolno będzie podziwiać wspaniałe zdrowie, które tryska z pani królewskiego pochodu — wytłumaczył się margrabia z niskim ukłonem.

Dubieński bardzo mało mówił i bardzo nieśmiało zaglądał w oczy pani Anny. Ale szedł tak obok niej, jakby jej chciał kamyki uprzątnąć z drogi. Gdy jaki powóz lub bicykl zbliżał się do grupy pieszych, Jerzy rzucał się prawie na spotkanie, jakgdyby chciał pierś swą nadstawić w razie niebezpieczeństwa. Ofiarował się jej raz z podporą swego ramienia przy stromem przejściu pod górę, a gdy odmówiła, odsunął się niby zawstydzony, baczny ciągle i gotów na zawołanie.

Gdy jednak doszli do celu, i trzeba było się rozstać na dzisiaj, pani Oleska, podziękowawszy uprzejmie towarzyszom przechadzki, najserdeczniej uścisnęła dłoń Jerzego. O tę nagrodę, nie o nagrodę wymowy, chodziło też Dubieńskiemu.

Po rozstaniu się z panią Oleską i z Fabjuszem, mężczyźni wracali na promenade des Anglais, d'Anjorrant w wybornym humorze, Słuszka niby wzburzony doniosłością nowego zjawiska, a Dubieński melancholiczny.

— Dawno pan zna tę panią, panie Dubieński?

— Od wielu lat. Tutaj ją także spotkałem parę razy.

— Skryty z pana człowiek.

Jerzy lekko zaznaczył, że przymówki margrabiego brać nie można na serjo.

— A ten Rzymianin?... Fabjusz, jeżeli dobrze dosłyszałem... Cóż to za rola? *Père noble ou jeune premier sur le retour?*

— Stryjeczny brat jej nieboszczyka męża. Dziwak. Mieszka w Antibes i pisze tam coś.

— A zatem nie ciągle przy niej się znajduje?

— Owszem, prawie zawsze.

— Aa? to znacznie obniża wartość tej perły.

Słuszka marszczył czoło i zdawał się mówić sam do siebie; nowa niepospolita kobieta, zjawiająca się w jego urojonem królestwie, przyczyniła mu widocznie wiele przewidywanych zajęć i kłopotów. Jakby nagle ciśniony prawdą swych wniosków, mozolnie wyprowadzonych, odezwał się uroczyście:

— Moi drodzy! wiem już wszystko, ja muszę wszystko wiedzieć: to jest kobieta, szukająca oparcia.

— Oparta jest tymczasem na ramieniu swego doktrynera.

— Pozory. Ona potrzebuje prawdziwego oparcia. Ja go jej dostarczę.

— Ładne rzemiosło! — rzekł drwiąco i wesoło d'Anjorrant.

Słuszka odskoczył i, kładąc obie dłonie na swą pierś rycerską, zawołał:

— A cóż ja?! Dlaczego ja nie byłem dla niej tem oparciem?!

— To co innego. Nie śmiem winszować zgóry, ale gdybyś ją potrafił świsnąć Fabjuszowi... phi!

— Raulu! nie porozumiemy się nigdy. Ja podejmuję się panią Annę Oleską oświecić, ubrać, wprowadzić w świat, dać jej dyrekcję, której potrzebuje.

— To znowu co innego. Nie będziesz miał nawet wiele zachodu. Wydaje mi się oświeconą dostatecznie. Ubrana jest wybornie.

— Jesteś tego zdania?

Słuszka spojrzał poważnie w oczy margrabiemu, a ten również opuścił ton żartobliwy i potwierdził:

— Wybornie, bez zarzutu.

Słuszka jeszcze raz spojrzał na d'Anjorrat'a i milczącym gestem przyznał, że się w tym szczególe pomylił.

— Ale obdarzę ją rzeczą najcenniejszą: moją wyjątkową opieką i dyrekcją.

— Obdaruj ją, Eustachy. To jej zaszkodzić nie może.

— Mam zaś do niej prawo, bo pierwszy ją odgadłem. Dubieński ją znał dawniej, ale ja twierdzę i powtarzam, że ją odgadłem.

— Eustachy! jesteś równie uprawniony, jak przenikliwy. Teraz więc, skoro od ciebie to zależy, zaproś panią Oleską na mój jacht w przyszły wtorek, o 5-ej.

— Raulu! to właśnie chciałem ci zaproponować.

Roześmiał się głośno i, ręce wznosząc ku niebu, perorował:

— Mnie nigdy nikt nie uprzedzi w trafnym pomyśle. A kiedy wam mówię, że ja także coś wiem...

Nazajutrz bilety wizytowe margrabiego znalazły

się w stosownych godzinach u pani Oleskiej w Nizzy i u Fabjusza w Antibes. W parę dni potem pani Oleska poszła z Fabjuszem do margrabiny, a tegoż dnia wieczorem oboje otrzymali najuprzejmiejsze zaproszenie na zabawę, która miała się odbyć na jachcie „Dieumafoi" w przyszłym tygodniu. On odmówił odrazu, ona wahała się, czy przyjąć.

X.

Teraz już całe prawie koło naszych znajomych znajdowało się w Nizzy. Mieszkali tu stale państwo d'Anjorrant, Granowscy, Rubensonowie we własnych willach. Kobryńscy przenieśli się także z Monte Carlo, aby bliżej być Jerzego, chociaż pilnować go było dość trudno; odosabniał się czasami, przepadał gdzieś, pozorując te ucieczki potrzebą ochłonięcia z wiru karnawałowego i skupienia myśli. Słuszka mieszkał w klubie. W Monte Carlo przebywali tylko zagorzali gracze w ruletę: Schwind i księżna della Robbia. Jak panią Oleską, tak i wszystkich pociągnęła Nizza, miasto większe od sąsiednich, tak bliskie od innych, tak doskonale połączone koleją żelazną i ciosanemi w skale, gładkiemi jak chodniki szosami, że właściwie, mieszkając w Nizzy, było się we środku długiego, rozrzuconego po brzegu morza, rozkosznego miasta.

Gorąco południa nie dochodzi do ocienionego salonu Granowskich; okna otwarte wpuszczają przez żaluzje tylko zapachy pomarańcz i przygłuszony

szum niby rytmicznego wiatru: gadanie morza. W dużym salonie trzy kobiety: pani Granowska, wyciągnięta na wygodnym fotelu, obok Krysia z ołówkiem w ręce, zawieszonej nad albumem rysunkowym. Obie patrzą na trzecią kobietę, siedzącą niżej, na poduszkach, prawie u ich stóp. Śniade jej ciało, spowite w ognisto-żółtą suknię, układa się miękko; czarne oczy spuszczone nad książką, gdy się nawpół podniosą na słuchające czytania towarzyszki, płoną gorącą wymową a usta przybierają jakieś lubieżne zarysy. Rzekłbyś, niewolnica iberyjska wysokiej rasy u stóp dwóch patrycjuszek. Głos jej płynie, jak melodyjna fala, a matka i córka słuchają bardziej tego głosu, niż treści książki. Po skończeniu rozdziału lektorka podniosła piękne oczy, a ręce załamała nad książką, prawie do ziemi.

— Ślicznie pani czyta!

— Ślicznie, ślicznie! — powtórzyła Krysia zarumieniona, wpatrując się w panią de Sertonville, której wzrok płynny ślizgał się aksamitnie, nie zaglądając prosto w cudze oczy.

— Uczyłam się czytania i deklamacji.

— Czy w jakim celu? — spytała wahająco pani Granowska.

— Może być... ale to dla nas niedostępne. Scena jest jeszcze na tym poziomie, że osoba dobrego towarzystwa nie może wystawiać się... Zresztą moi krewni w Hiszpanji, ani mąż mój nigdy na to nie pozwolili. Teraz już za późno.

— O, cóż znowu!..

Rozmowa wkraczała w nieznane, poufne strefy. Pani Granowska uczuła się nieco zakłopotaną.

— Hrabia de Sertonville zakazał stanowczo?

— Sertonville zajmuje się mną wtedy, gdy to obchodzi jego nazwisko. Ale ja sama nie chcę.

Po twarzy jej przebiegł uśmiech zniechęcony, a głowę wyprostowała z godnością, jakby dając do zrozumienia: „Nie oskarżam nikogo; moja skryta boleść do mnie samej należy".

— Mówmy o czem innem, kiedy łaska — dodała błagalnie, z tak pieszczotliwem pochyleniem głosu i głowy, że obie słuchaczki poczuły zawstydzenie z powodu swej niedyskrecji.

— Proszę nam za złe nie brać naszej ciekawości: pochodzi ze szczerej sympatji — rzekła pani Granowska, wyciągając rękę.

Pani de Sertonville ujęła tę rękę i gwałtownym ruchem przycisnęła do piersi, przyczem kilka prędkich poruszeń brwiami dało poznać jej wzruszenie i walkę z tem wzruszeniem.

— Biedne dziecko!

— Przepraszam bardzo...

— To my przepraszamy...

Chwilę ogólnego zakłopotania przerwało rozpoczęcie nowego rozdziału. Głos lektorki popłynął znowu, głębszy jeszcze, poważniejszy, jakby w nim na dnie jęczała tłumiona skarga na świat i ludzi, a serca pań Granowskich wzbierały litością.

W tę melodję wmieszał się wkrótce fałszywy ton: służący oznajmił przybycie księcia Władysława Kobryńskiego. Ponieważ książę przyznawał się

do pokrewiewieństwa, na co mu pozwalano, miał wolny wstęp do Granowskich. Trudno było dzisiaj wykręcić się od jego odwiedzin. Przyjęto go jednak tak, że zrozumiał swą zbyteczność. Pani de Sertonville, przerwawszy czytanie, utkwiła obojętny wzrok w okno. Ale on chciał się utrzymać na wysokości wytrawnego światowca.

— Dzień dobry cioci i kuzynce. Dzień dobry pani. Wpadam niepotrzebnie, jak widzę. To się zawsze zdarza, gdy mąż goni za żoną. Czy Terenia tu była, jeżeli wolno zapytać?

— Pojechała z Antosiem do Monte Carlo — odpowiedziała Krysia.

— Przepraszam, jeszcze nie. Mieliśmy wyjechać o 3-ej, właśnie za pół godziny; także Słuszka, Dubieński...

— Nikogo tu niema.

— A pani?... — zwrócił się Kobryński do pani de Sertonville z udanem roztargnieniem.

— Ja nie jadę.

— Pani czyta?... O, wiem, jak pani czyta! cudownie!

Chwyciwszy okiem monokl, pochylił się nad książką, którą trzymała w ręku. Fernanda rzuciła mu spojrzenie oburzone, prawie nienawistne.

— Przepraszam. Pójdę ich szukać gdzie indziej. Moje uszanowanie.

Wyniósł się szybko, niepyszny.

Kobiety pozostały znów same.

— Paniby zapewne wolała jechać do Monte Carlo, niż siedzieć z nami?

— Czy jestem tu zbyteczna? — odpowiedziała innem pytaniem pani de Sertonville pokornie i zalotnie.

— Gdzieżby! tylko myślałam, że tamto zabawniejsze. Podobno pani przegrywa?...

Fernanda spuściła oczy.

— Nie trzeba grać. Wstydzę się tego upodobania... Bo nie mam nigdy miłego towarzystwa. Kiedym teraz znalazła tak wyjątkowo przyjemne i wytworne, kiedy mi okazano... dużo dobroci, pragnęłabym tylko, aby to nie zaraz się skończyło.

Musnęła wymijającem spojrzeniem twarz Krysi i przesunęła język po wargach. Gdy to czyniła, przypominała czarną kotkę, łaszącą się do mleka.

— Pani zawsze sama?... czy niema kogo z bliskich tutaj? — zapytała hrabina Granowska.

Hiszpanka spojrzała ciekawie i niespokojnie w twarz starszej damy, ale ta wyrażała tylko sympatyczną troskliwość.

— Znam wszystkich, ale z bliskich nie mam nikogo. Tutaj wszyscy są jednego gatunku: rozbawione „snoby“. Nawet ten książę, który wychodzi... Przepraszam, może to przyjaciel?

— O tak, daleki krewny. Jestem pani zdania. Nigdy nie był poważny. Dobry chłopiec, ale niepoczytalny...

— Mam go za porządnego człowieka i znam go nieźle. Ale to nie mój rodzaj, nie mój typ..

Pani Granowska nieco brwi podniosła.

— ...Jak się to mówi po nicejsku — dodała śpiesznie Fernanda.

Znowu służący oznajmił przybycie pani Anny Oleskiej. Gospodyni skrzywiła się, szukając wymówki, lecz pani de Sertonville zapytała ciekawie:

— Czy to nie ta ładna Polka, która mieszka w Cannes i przechadza się zawsze ze starszym mężczyzną?

— Zapewne ta sama. Czy pani pragnie ją poznać?

— Taka sympatyczna... Ale jakżebym miała wpływać na rozkazy hrabiny!...

— Prosić — rzekła pani Granowska do służącego.

Pani Anna wmieszała się już trochę w towarzystwo nicejskie, zaczem musiała odwiedzić niektóre starsze damy. Wizyta jej dzisiejsza była banalną formą i nicby szczególnego w sobie nie zawierała, gdyby nie spotkanie dwóch wspaniałych kobiet, różnych jak dzień i noc.

Pani de Sertonville była nocą, bladą bezsenną nocą południową, pełną gorących westchnień i odgłosów dalekich pieśni hulaszczych. Panią Oleską można było porównać do dnia letniego ze stref umiarkowańszych, lecz zdrowych i kwitnących.

Obie znały się z ulicy, dawno już zwróciły wzajemnie na siebie uwagę; rade były teraz naprawdę się poznać. Jednak zachowanie się Fernandy dało pani Annie zagadkowe wrażenie. Zalotna uprzejmość Hiszpanki wydała się tej kobiecie przejrzystej nadto błagającą o jakieś przebaczenie, fałszywie pokorną. Pani Anna patrzyła prosto w twarz ludziom, z zaufaniem i swobodą; spojrzenia tamtej

nie mogła ułowić, czuła tylko, że promień tych czarnych oczu, gdy prześliźnie się po twarzy, pali ją jakimś wstydem. Mimo to z krótkiej rozmowy zdała sobie sprawę, że pani de Sertonville może się bardzo podobać, że to jakaś natura niepokojąca, ale nowa i ciekawa.

Rozmawiano o zabawach, bo rozmawiano w Nizzy. Głównie zaś uczta na jachcie d'Anjorrant'a, mająca się odbyć za parę dni, dostarczyła materji do rozmowy.

Ta sama uczta wywoływała od kilku dni w innych miejscach dyplomatyczne zabiegi. Ponieważ liczba gości na jachcie musiała być ograniczona i przez miejsce i przez różne zasady, margrabia ukrywał się z listą wybranych i z terminem. Niektórych osób nie mógł pominąć, jak Jego Królewskiej Wysokości księcia Filipa z synem, stałych towarzyszów przy partji klubowej, oraz arcyksiężny Fryderyki, dla której znowu trzeba było zaprosić pana Ciampi, artystę.

Szczególniej ważny był wybór dam zaproszonych: powinny być piękne i zabawne, a nie wypadać, o ile możności, z ram najlepszego towarzystwa. Cenzus pod tym względem trudny był do przeprowadzenia. Wyłączono starsze, jak panią Granowską i księżnę della Robbia, to jest zaproszono je w taki sposób, że nie mogły przyjąć. Bo chłód morza w nocy mógł być zgubny dla hrabiny, a księżna straciłaby cały jeden dzień gry w ruletę, tem cenniejszy, że była na wyjezdnem. Wprawdzie na wyjezdnem była od miesiąca.

Ponieważ margrabia był z Rubensonem w najlepszych stosunkach, nawet w przyjaźni, którą możnaby nazwać „wzajemnym kredytem“, przyznał mu się, że bardzo pragnie mieć go na jachcie, ale żony jego nie prosi, bo wyłączył wogóle starsze panie.

— Rozumiem — odpowiedział bankier: — do takiej paradnej fety potrzeba paradnych kobiet, w rodzaju hrabiny de Sertonville.

D‘Anjorrant spojrzał bystro na Rubensona, który mówił mało, lecz technicznie. Nazwisko pani de Sertonville nie mogło być tu wymówione przypadkiem.

— Kochany Rubensonie, pan wiesz, że należę do przyjaciół Fernandy. Ale mogę sobie narazić arcyksiężnę Fryderykę.

— Arcyksiężna raczyła sama wyrazić mi życzenie, żeby hrabina była zaproszona.

— Doprawdy?! — odparł d‘Anjorrant ironicznie: — pani de Sertonville zaczyna mieć stosunki bardzo rozgałęzione.

O tym przedmiocie nie powiedzieli już ani słowa. Zeszli się bowiem na inną rozmowę. Rubenson oznajmił margrabiemu, że operacja giełdowa, którą dla niego przeprowadzał, może udać się nadspodziewanie pomyślnie. Rozstrzygającej o tem wiadomości oczekuje w tych dniach, może właśnie w dniu przeznaczonym na morską wyprawę.

Jacht d‘Anjorrant‘a był zatem ciągle celem westchnień i zabiegów; wzmianki o nadchodzącej zabawie zabierały dużo miejsca nawet w rozmowach, nie mających napozór nic z tem wspólnego.

Tymczasem pod gorącem słońcem tutejszem ogromne kwiaty wytryskały z agaw przez jedną noc, jakby zaklęte przez fakira; inne więdły, spalone; owoce dojrzewały lub schły wokamgnieniu w pożarze słonecznym. Tak samo zakwitały i więdły uczucia, namiętności, a nawet ściśle do nich dopasowane filozofje. Najgwałtwniejsze przewroty zauważyć było można w sposobie życia Jerzego Dubieńskiego. Od kilku dni stał się cichym, zamyślonym i nie bywał w gwarnych towarzystwach; natura poety brała widać górę nad innemi instynktami.

Tego samego dnia, kiedy pani de Sertonville nie pojechała do Monte Carlo, aby dotrzymać towarzystwa chorej pani Granowskiej —Jerzy spotkał się z Fernandą późnym wieczorem w Monte Carlo, w ubocznem małem mieszkaniu, które już nieraz służyło im za kryjówkę.

Rozstał się z nią o świcie i wyszedł na pusty plac przed Kasynem. Świeżość poranka rozdzierała ciężkie zapachy roślin, jak kiedy powiew ze dworu wejdzie do sypialni kobiecej. Światło zupełnie białe rozkładało się po górach odartych z błękitu, twardziej zarysowanych, po domach, czysto umytych przez jutrzenkę, po surowej zieleni drzew, po skałach żółto-rdzawych, po morzu gładkiem, jak polerowana cyna.

Dom gry, dziwaczny i pstrokaty, wydał się Jerzemu wytworniejszym w tej czystości, prawie greckiej, powietrza. Wschód zarumienił się nagle, błysły po morzu różowe smugi, różowy dreszcz prze-

budzenia pobiegł po białych willach i pierwszy promień ognisty spoczął na szczytach Kasyna. Ta korona złota, w nowym triumfie dnia, przykuła oczy Jerzego i wydała mu się symboliczną.

Przeskoczył myślą do analogji nieprzewidzianej: przypomniał dawne poranki wiosenne w Chojnogórze, łąki srebrne od rosy i siebie samego, wychodzącego ze strzelbą na kaczki. Przypomniał dawną świeżość swej własnej duszy, zginioną niepowrotnie.

I poczuł nieokreślony żal do kraju, który go otaczał, do życia, które pędził, do kobiety, z której objęć wychodził. Nie przesyt; życie wołało go, ciągnęło, ale ukazywało mu wyższe jeszcze odurzenia, subtelniejsze pokusy. Te pokusy nie miały twarzy niepokojącej, ani postaci grzechu; przychodziły owszem z pragnieniem poprawy, z dumną jakąś żądzą, w poetycznych zarysach.

Na ustach czując świeży smak najpiękniejszej ze znanych mu dotąd kobiet, marzył jednak o innej kobiecie. I tę inną, tę przyszłą pragnąłby teraz mieć przy sobie, paść jej do nóg i przepraszać za życie bez niej spędzone. Ta nowa była inaczej piękna i odpowiadała lepiej jego dumnym pragnieniom. Była też niedostępna, nie tak jak Fernanda, o której poczynał wątpić.

Dość już długo rozmyślał na pustym placu i zapadał w stan rozkosznego pół-pijaństwa, gdy go ocucili zbliżający się ogrodnicy. Był ich cały szwadron w roboczych bluzach. Jęli podlewać i muskać

kobierce kwietne, podstrzygać gazony, zagrabiać ślady kół na drogach. Przystrajali wielką otwartą salę na przyjęcie dzisiejsze, zanim stado gości zechce się obudzić po willach i hotelach, zanim nowe stada pierwszym pociągiem nadciągną.

Jerzy poczuł rzeczywiste znużenie i senność. Wynalazł powóz i pod nastawionym kapturem puścił się tęgim kłusem do Nizzy. Rzeźwy powiew od morza skrystalizował praktyczniej jego poezję. Gdy mijał Monaco, przypuszczał, że trzeba będzie trochę oddalić się od Fernandy. Pod Èze doszedł do wniosku, że należałoby zerwać ten niebezpieczny stosunek, a gdy dojeżdżał do Beaulieu, już się rozrzewniał nad cierpieniem, które sprawi pani de Sertonville, gdy ją pożegnam. I to wkrótce wywietrzało mu z głowy; myślał teraz o pani Oleskiej, jak student o pierwszej wymarzonej kochance i jak dyplomata o trudnej misji, na którą się wybiera.

Dojeżdżał do Villefranche, gdy w zbliżającym się naprzeciw powozie poznał szwagra. Co on robi na szosie o tej wczesnej godzinie? Kobryński poznał go również; niebawem zatrzymali rozpędzone konie, wysiedli i zeszli się na drodze pod kapiącą żółtem kwieciem mimozą.

— Dokąd tak pędzisz? — zapytał prędko Jerzy, aby uprzedzić to samo zapytanie. — Blady jesteś, jak upiór.

— Grałem do tej pory w klubie. Spłókałem się kapitalnie. I różne inne kombinacje pchnęły mnie

do Monte Carlo. Jesteśmy braćmi, prawda, Jerzy? liczę więc na ciebie i na twoją dyskrecję.

— Oczywiście. Ale poco jedziesz o siódmej rano do tej budy, gdzie wszycy śpią jeszcze?

— Najprzód chcę się tam widzieć z jednym zacnym lichwiarzem... a powtóre... tylko rozumiesz, że to zupełnie między nami...

Jerzy ruszył ramionami.

— Wyobraź sobie, wychodzę z klubu i mijam hotel Fernandy. Miałem jej coś zanieść jeszcze wczoraj, więc mówię z portjerem i dowiaduję się, że jak wyjechała wczoraj późno do Monte Carlo, tak jeszcze nie wróciła. Może jej się coś stało?!

Jerzy uśmiechnął się dwuznacznie:

— Ho, ho! co za troskliwość! Uspokój się: widziałem panią de Sertonville: śpi spokojnie.

— Widziałeś ją?

— Spóźniła się na ostatni pociąg, a powozu wczoraj nie miała. Wzięła numer w hotelu.

— Cóżto za obyczaje! — wybuchnął Kobryński.

— Masz słuszność — odrzekł Jerzy poważnie:— kobiety narażają się tutaj darmo na obmowę. Ale ona wytłumaczy się z tego. Ma poranną suknię; je śniadanie z księżną della Robbia i z panią Puckelswart.

Nadzwyczaj ścisłe informacje Jerzego o pani de Sertonville uderzyły nagle Kobryńskiego. On teraz począł indagować, po krótkiem milczeniu, z kwaśnym uśmiechem:

— No... a ty skąd wracasz o tej godzinie? Jesteś tak dziwnie wyblakły.

— Ja mam swoje kryjówki. Pisałem przez całą noc.

— Pisałeś?!

— Nie masz pojęcia, Władziu, jak Monte Carlo wygląda o wschodzie słońca. Całe jakby pod szybą kryształową.

— Daj mi spokój. Domy publiczne tak samo wyglądają, gdy słońce zaświeci.

— Jest trochę i tego wrażenia — ciągnął Jerzy spokojnie, jakgdyby miał wiele czasu przd sobą — ale właśnie arcy ciekawy jest ten obraz bez ludzi, ten aparat bez...

— Jerzy! nie pozuj przede mną! to nie po bratersku.

— Skoro nie chcesz słuchać, przestanę.

Kobryński kręcił się: miał jeszcze coś do powiedzenia szwagrowi. Założył monokl i, patrząc na paznogcie, odezwał się:

— Czy Terenia mówiła ci, że wczoraj otrzymaliśmy dla ciebie pieniądze z Chojnogóry? Nam to zawdzięczasz, bośmy dali świadectwo o twoich lepszych dyspozycjach.

— Bardzo dziękuję. A gdzież te pieniądze?

— Widzisz, Jerzy, chciałem cię prosić, abyś mi co możesz na parę dni pożyczył. Zgrałem się. Jutro ci oddam.

— Mój Władziu! mam długi... Czy przysłano za cały kwartał?

— Tak, 3.000 rubli, około 8.000 franków. Ale wczoraj zabrałem te pieniądze do klubu, niby na wenę. I przegrałem. Naturalnie, masz je u mnie. Tylko właśnie proszę cię, abyś trochę poczekał, najwyżej tydzień.

Jerzy spochmurniał, wiedział bowiem, że książe Kobryński odznaczał się zasadniczą niesłownością w sprawach pieniężnych. Nazywało się to, że „Władzio jest niepoczytalny".

— Daj choć 4.000. Potrzebuję ich natychmiast.

— Dam ci wieczorem. A z całości pozwolisz, że potrącę 600 rubli za tego konia dla twojej damy... pamiętasz?

— Przecie za konia dałem ci parę strzelb angielskich!

— Aha?... to było jedno za drugie?... No, więc, masz u mnie 8.000 franków. Cztery oddam ci dzisiaj, resztę wkrótce.

— Pamiętaj, Władziu. Ja naprawdę potrzebuję pieniędzy.

— Nie bój się. Nie zapomnę.

„Bracia" rozstali się dość zimno i podążyli w przeciwne strony, każdego z nich gnało życie niepohamowane.

XI.

Wyprawa morska d'Anjorranta przeszła wszelkie oczekiwania, a była przedewszystkiem rodzajem porwania Sabinek w stylu nowożytnym. Margrabia, w ubiorze kapitana marynarki, ogłosił na pokładzie prawo morskie, mocą którego on, jako odpowiedzialny za życie i zdrowie gości, ośmiela się prosić ich o bezwzględne poddanie się programowi wyprawy i posłuszeństwo jednodniowej swej władzy.

Zgodziła się pierwsza arcyksiężna Fryderyka, wyrażając to zadowolenie przez długi uśmiech swej długiej twarzy, która nad długą postacią panowała, niby królewska agrafa do wysokiego kapelusza. Dla Jego Królewskiej Wysokości księcia Filipa XIII było obojętnem poddać się jakiejkolwiek obcej władzy, przywykł bowiem od tego, tułając się po obcych krajach, pełniąc u dworu pomniejsze, choć zaszczytne obowiązki. Ze swych prawowitych pretensyj do dworu Venezueli ocalił tylko pierwszorzędne miejsce przy obiadach, kilka wysokich orderów, z których jeden miał nawet prawo rozdawać, a także pewien nimbus w formie korony. Ten nimbus, nie zawsze widziany i nie dla wszystkich, rozmarzał jednak wielu patrjotów wenezeulskich, a tacy znajdowali się we wszystkich krajach. Syn pretendenta, właściwie królewicz, także Filip, nie nosił już w oczach, jak ojciec, tęsknoty za uszczęśliwieniem swego ludu, tylko wybujałą żądzę wy-

zyskiwania swej pozycji na polach ogólnie dostępnych: w klubach, w salonach i w alkowach. Z tego powodu niebardzo się różnił od międzynarodowych pasorzytów; był od nich trochę gorzej wychowany, bo mógł sobie na ten oryginalny wdzięk pozwolić.

Skoro więc wysocy goście, arcyksiężna i pretendent, zgodzili się na posłuszeństwo kapitanowi d'Anjorrant, reszta zaproszonych nie mogła inaczej postąpić. Wiadomem było zresztą, że program margrabiego zawierać będzie same wyszukane przyjemności, a rozkazy jego nie będą twarde, ani trudne do spełnienia.

O godzinie piątej, przed zmrokiem, gdy goście już się zgromadzili na pokładzie jachtu, setki ciekawych podziwiały w porcie Villefranche widowisko niezwykłe. Jacht patrzał ku lądowi swym dziobem wyniosłym, na którym widniał herb d'Anjorant'ów: dwa anioły klęczące, zwrócone ku sobie. Na pokładzie wznosiła się wielka altana z purpurowym baldachimem i skrzyżowanemi proporcami; cały wierzchni przyrząd statku i lekkie wiązania altany pokryte były kwiatami. Pośród tych plam nieruchomych, migające barwy sukien damskich, mundurów posługi okrętowej, liberji lokajów, sprawiały grę przedziwną, bawiąc oczy, a w wyobraźni wskrzeszając obrazy weneckie z owych czasów, gdy doża obchodził na Bucentaurze uroczystość zaślubin z Adrjatykiem.

Wystrzał z moździerza dał sygnał odjazdu. Okwie-

cony, jak pływający ogród, tułów okrętu obrócił się wolno na sobie i zmierzył herbownym dziobem zamierzchającą już przestrzeń morza. W tej chwili mnóstwo świateł elektrycznych zabłysło, obrysowując gwiazdami linje tej czarodziejskiej łodzi, która żegnała przystań coraz słabszym gwarem, coraz dalszemi dźwiękami muzyki i nikła w oczach, tak sunęła szybko, bez wahania, bez trudu, w ciemniejący błękit nocy. Po kilku minutach jacht był już tylko promienną jakąś rybą, wyrzucającą z siebie strzeliste race. Roztopił się wreszcie i zginął w oddaleniu, jak sen, co odchodzi.

Ponieważ noc była ciepła, a morze gładkie, jak jezioro, całe towarzystwo pozostało na pokładzie, zapatrzone na uciekające wybrzeże, odrazu upojone niezwykłością widoku i zabawy. Z kwiecistej altany utworzono przez zasunięcie bocznych płócien przewiewną salę, w której służba ustawiała pospiesznie stoły do obiadu. Tu będzie przyjemniej biesiadować, niż w sali jadalnej; sala służyłaby wówczas, gdyby pogoda nie dopisała; tymczasem zaś urządzono w niej stały bufet.

Pod pozorem zwiedzenia statku goście rozsypali się po różnych kątach, krążąc wśród kwiatów i zmiennych świateł iluminacji. Okazały się różne wytworne pomysły margrabiego ze współudziałem malarzy i kwiaciarki. Kajuty były gotowe do odpoczynku dla dam lub do poprawiania nieładu w strojach: uperfumowane, zaopatrzone we wszystkie przybory gotowalniane, przystrojone zalotnie, przy-

pominały tajemne pokoiki, urządzone przez zakochane ręce. Na całym pomoście statku pełno było parzystych foteli, kanapek, osłonionych zielenią, gniazdek, zapraszających do poufnych rozmów. I wszyscy poczuli odrazu, że ta noc jest w życiu jedyną do upicia się tryskającą zewsząd rozkoszą.

Bez wina, bez sztucznej podniety, od samego zapachu morza i kwiatów zakołowało w głowach, w oczach zabłysło od pragnień.

Po obiedzie zaś, już gwarnym, ogólne podniecenie wzrosło do stopnia, który możnaby nazwać stanem doskonałej błogości, gdyby mu nie towarzyszył dreszcz niepokoju. Wczoraj i jutro, dwaj wieczni nieprzyjaciele wszelkiej niepodzielnej uciechy, nie drzemali nawet tutaj.

Więc arcyksiężna Fryderyka, choć zasłuchana w cudnym głosie Ciampi'ego, od czasu od czasu kiwała tęskliwie głową do siedzącej przy niej pani d'Anjorrant.

— Komu on już śpiewał!.. Komu jeszcze śpiewać będzie!...

Margrabina odpowiadała uśmiechem pełnym współczucia, niedobrze zgadując, o co chodzi. Włoch nucił półgłosem arję z „Dalili", czasem tylko puszczając z szacownego gardła nutę pełną i wypieszczoną, która rozpływała się w powietrzu, nie mogąc się odbić od wysokiego stropu nieba. Kilka osób słuchało śpiewu, ale inne miały co innego do czynienia.

Pani Oleska usiadła po obiedzie w pełnem świe-

tle i otoczona została przez mężczyzn. D'Anjorrant od chwili jej przybycia na statek zajmował się nią zabiegliwie; posadził ją przy stole po lewej ręce, symetrycznie do arcyksiężny, co nawet nieco ubodło księżnę Teresę Kobryńską. W rozmowie z nią unikał bezpośrednich pochwał, ale traktował ją z szorstkiem jakiemś zaufaniem, niby osobę zupełnie równą sobie w pojęciach o życiu i jego wytwornościach, niby kogoś zupełnie „z naszego kółka". Było to w jego mniemaniu najwyższem dobrodziejstwem, jakie mógł okazać istocie ludzkiej. Ale po obiedzie nie mógł już przystąpić do „pięknej Polki", bo miał za dużo do czynienia, jako naczelny wódz wyprawy. Wydelegował więc do pani Oleskiej Mikołaja Wiljaszewa, słynnego z dowcipu sekretarza ambasady rosyjskiej w Paryżu.

— Niech pani rozrusza swego sąsiada. Zabawny jest.

Wiljaszew mówił po francusku lepiej od Francuzów. Przystąpił więc do pani Oleskiej z międzynarodową dworskością. Miał zwyczaj wychwytywać z rozmowy słowa i oświetlać je komicznie, przyczem dwoma złożonemi palcami wykonywał chwytający ruch odpowiedni, a twarz jego przytłusta, cała wygolona, energiczna, przybierała wyraz wesołego zakłopotania. Zdawało się, że chciałby parsknąć śmiechem, gdyby to wolno było dyplomacie. Choć jednak sadził się na dowcip przez kwadrans i zaimprowizował o towarzystwie nicejskiem istny feljeton do *Gaulois*, nie obudził w pani Oleskiej szczerej wesołości, ani rzeczywistego zajęcia. Gdy

więc przysiadł się do niej książę Filip młodszy. Wiljaszew zgrabnie czmychnął.

— Tańczyć będziemy. Pani mi podaruje pierwszego walca? — rzekł królewicz, przechylając się zuchwale ku pani Oleskiej i zagryzając smacznie usta, zaledwie ocienione lekkim wąsem.

— Ani myślę. Niech Wasza Wysokość poszuka kogo innego. Ja na pokładzie tańcować nie umiem.

— Przecie statek sunie jak tratwa. Nie wiemy nawet, że płyniemy.

— Dobrze. Ale ja tańcować nie będę.

— Boi się pani morskiej choroby?

— Boję się tancerzy.

— Mnie przecie pani się nie boi? Proszę powiedzieć.

— Specjalnie pana... niebardzo.

— Ja jestem wobec dam zupełnie... zupełnie prostym śmiertelnikiem... dobrym chłopcem i życzliwym sługą, nic więcej.

— Skoro więc za takiego pozwoli mi Wasza Wysokość się uważać, proszę mnie uwolnić od zaproszenia, gdyż nie lubię tańczyć w podochoconych towarzystwach.

Książę Filip powstał i obdarzył panią Oleską jednym z tych wymownych królewskich ukłonów, których jeszcze nie zdążył przestudjować. Spotkawszy wkrótce hrabiego de Nielles, zaufanego kompana, rzekł mu cicho, wskazując oczyma opuszczoną damę:

— Nie radzę ci zbliżać się do niej. Drapie. Te kobiety wschodnie są zupełnie pierwotne.

Dawno już różnemi meandrami zmierzał do pani Anny Jerzy Dubieński. Teraz ona sama go zawołała i poprosiła, by usiadł przy niej. Poczuła się spokojniejszą, mniej obcą w towarzystwie i zaczęła mówić swobodnie po polsku. Po kilku nastręczających się uwagach o uczcie dzisiejszej, Jerzy odezwał się cicho i ciepło:

— Przepraszam... Czy pan Fabjusz pochwalił pani zamiar należenia do dzisiejszej zabawy?

— O, nie pochwalał... owszem, nie radził. Sam zaś odrazu nie przyjął zaproszenia.

— Śmiem być jego zdania... chociażby to mnie pozbawiło całej poezji wyprawy... Śmiem być zdania krewnego pani, który zresztą ma zawsze słuszność.

— Doprawdy?... Wie pan, że ja o tem samem myślałam przed chwilą.

— To naturalne. Dla nas obojga — jestem śmieszny, ale szczery — dla ludzi bardziej skupionych w sobie, myślących o wyratowaniu swej człowieczej godności z tej powodzi szychu i brudu, takie zabawy są zbyt głośne, takie wzruszenia są obrażające.

— Ależ co znowu! Tu przecie nie dzieje się nic strasznego.

— Zapewne... Tylko ci ludzie, gdy się rozgrzeją, zaczynają moralnie cuchnąć.

Pani Anna skrzywiła się i wzdrygnęła.

— Ach! przepraszam. Tracę miarę w wyrażeniach, jak tamci tracą miarę w cynizmie. I sam mieszałem się często do ich towarzystwa, a dzisiaj do-

piero widzę, co to warte, widzę, pod wpływem pani.

— Pod moim? Jeżeli nawracam pana, to zupełnie bezwiednie. Nawet tak mało się znamy, że ja nie wiem, co panu grozi i jaki rodzaj wpływu mógłby być dla pana zbawienny.

— O, niech mnie pani nie odsuwa od siebie! Wyobrażam sobie, że łatwiej niż inni mogę zrozumieć panią. Między tymi ludźmi, których poczynam nienawidzić, jest pani promieniem czystej piękności i dobra... przypomina mi się wszystko, com kiedy kochał w pierwszej, niezamąconej młodości.

Pani Oleska znała rozrzewnienia męskie i przywykła im nie dowierzać. Ale głos Jerzego wydał się jej szczerym. To ją zastanowiło. Nie mogła jednak odpowiadać w tej samej gamie, więc poszukała wykrętu.

— A ja mam teraz wrażenie, że pan tutaj urodził się i wyrósł. Kiedym pan aspotykała dawniej w Warszawie, był pan innym człowiekiem, może mniej wyrobionym...

— Byłem inny, i dotąd jest we mnie inny człowiek, lepszy, którego pani jedna obudziła, tylko pani, pomiędzy całą galerją malowanych figur.

Pani Anna spojrzała na Jerzego żartobliwie, a głos jej zadrgał śmiechem trzymanym na uwięzi, tą szeleszczącą podszewką jej słów prostych i niepodejrzanych.

— Czy wszystkie malowane?... I pani de Sertonville?

Jerzemu zadrgały rzęsy. Oboje spojrzeli w stro

...y, gdzie piękna Fernanda usiadła w towarzystwie paru dam, tak dzisiaj cicha i biała, jakby przemocą tylko wciągnięta do rozhulanego towarzystwa. Darmo książę Filip i Kobryński i inni proponowali jej przechadzkę pod rozmaitemi pozorami.

Statek płynął dalej w noc ciepłą i gwiaździstą. Nikt nie pytał o godzinę ani o kierunek drogi. Mężczyźni odwiedzali często bufet i powracali znowu do altany na pokładzie, gdzie kapela Cyganów rżnęła od ucha coraz bardziej rozpasane melodje. Wszyscy tracili powoli świadomość, gdzie się znajdują, a szukali tylko jakiegoś wyższego jeszcze stopnia upojenia. Kilka zaledwie osób panowało nad pociągającym prądem, a do tych ostatnich należał przedewszystkiem margrabia d'Anjorrant. Gościnnym uśmiechem, słowem uprzejmem i trafnem zachęcał do zabawy, a zarazem ją miarkował. Obchodząc statek, pomijał bez uwagi dozwolone uciechy, jak naprzykład parę, która od dłuższego czasu zapadła w ocienioną kryjówkę i w cichą rozmowę. Była to księżna Teresa i młody Antoś Granowski.

— Cóżto znowu za kombinacja? — pomyślał margrabia, gdy ich spostrzegł po raz pierwszy.

Księżna Kobryńska mówiła widocznie o poezji nocy, gdyż rysowała ręką i lornetką wzorzyste linje po przestrzeni, naśladując zapewne konstelacje. Uśmiech jej zaś słodszy, wzrok natchniony, kibić, falująca kuszącemi przegięciami, zdawały się wyrażać, że księżna coś lubego wróży z gwiazd dla siebie i dla młodego towarzysza. On siedział nieruchomy, zapatrzony pogardliwie w gwiazdy, albo

znów przez skrzyżowane ręce kontrolował krój swych spodni i lakierowanych butów. Miał bowiem ambicję najwyszukańszej elegancji w ubraniu, a zarazem czuł przesyt życia i zasadniczą pogardę dla kobiet.

D'Anjorrant pominął tę grupę z pobłażliwym uśmiechem, ale gdy znowu, w pół godziny później, zastał ją na tem samem miejscu, stwierdził czarodziejski skutek wymowy Tereni. Antoś Granowski atakował wstępnym bojem przychylność księżny. Ona dotknęła ustami wina, a on, niemal klęcząc rozpłomieniony, dopraszał się o ten sam kieliszek. Księżna trzymała kieliszek dość wysoko, jednak dostępnie, a główka jej dowcipna odchylała się wdzięcznie od bardzo natarczywej twarzy Granowskiego. Oczy ich trzymały się wzajemnie na odległości skrajnie bliskiej; lada mrugnięcie ze strony księżny mogło wywołać iskrę porozumienia.

Margrabia, nadchodząc, zawadził silnie o linę okrętową, która wydała dźwięk dostatecznie ostrzegający, zwłaszcza, że spotkał księcia Kobryńskiego, który w tę stronę zmierzał. Księżna powstała, a idąc naprzeciw męża i d'Anjorrant'a, wydała się sama w ręce sprawiedliwości. Kapelusz nieco skrzywiony obwiniał ją tylko pozornie, gdyż wzrok i postawa świadczyły niezaprzeczenie o uratowanej godności damy. Za nią postępował Antoś, pochylony, z zastygającym na twarzy uśmiechem pożądliwym, niezbyt jednak zakłopotany, gdyż wino przyćmiło w nim sąd o grozie sytuacji.

— Jesteśmy w czarodziejskiej sferze, zaklętej

przez pana... szalejemy wszyscy — rzekła księżna do margrabiego.

— Nawet moja żona wygląda jak bachantka — odezwał się Kobryński i parsknął śmiechem.

Terenia roztopiła swój nastrój bachiczny w żałosnej skardze do męża:

— Władziu!...

I odeszła z Granowskim, a Kobryński mówił do d'Anjorranta:

— Kochany margrabio! Przyznać trzeba, że zakasowałeś wszystkie uczty, jakie widziałem. A widziałem ich niemało w różnych krajach, naprzykład kiedy lord Dudley przyjechał do Ostendy...

D'Anjorrant przerwał:

— Cieszę się, że zyskałem uznanie księcia. Proszę mi pomóc zabawić papę Filipa, który siedzi w altanie. Słuszka dzisiaj osowiał zupełnie. Gdy się ludzi potrzebuje, są niezdatni.

— Zaraz pójdę. Ja go tam rozruszam. Zatem kiedy lord Dudley dawał ucztę w porcie...

— Kochany książę, lord Dudley nic mnie nie obchodzi.

— Aha... To też niema porównania. Jak tu pan umiał doskonale dobrać towarzystwo, aby wszystkim dogodzić! Powiedz-no pan, czy arcyksiężna zna już dawno Ciampi'ego?

D'Anjorrant skrywił się i odrzekł sucho:

— Nie pozwoliłem sobie nigdy jej o to zapytać.

— No, naturalnie... Ja także pragnę bardzo panu podziękować, że zaprosił tę biedną panią de Sertonville.

Margrabia zmierzył Kobryńskiego wzrokiem pod którym książę, już nieco zachwiany przez wino, zachwiał się jeszcze bardziej:

— Chodziło panu o to? Nie wiedziałem. Pani de Sertonville należy do moich znajomych. Gdyby ją potrzeba było wpraszać do mnie, namyślałbym się może.

Książę spostrzegł nareszcie, że zabrnął. Ażeby wycofać się, udał nadmierną wesołość:

— Prawda!... bredzę jak na mękach. Bo też można stracić głowę w tej Kapui. Pójdę zabawić księcia Filipa ojca.

W tej chwili d'Anjorrant spostrzegł Słuszkę.

— Eustachy! mianowałem cię dzisiaj adjutantem, a włóczysz się po pokładzie i nie wiesz, że Jego Królewska Wysokość, opuszczona przez wszystkich, zapada w melancholję.

Słuszce wino działało na obniżenie humoru. Był zaś także podchmielony. Odpowiedział:

— Mój drogi! Odbywam generalną inspekcję, wartę nocną. Mam mnóstwo do roboty. Wyobraź sobie, zastałem panią Puckelswart...

Odprowadził d'Anjorranta, opowiadając mu coś na ucho. Kobryński pozostał sam i niezadowolony ze swych powodzeń, tem bardziej, że i Fernandę bolała dziś głowa, a teraz nie było jej nigdzie widać na pokładzie. Znikła i napełniła serce Kobryńskiego niepokojem.

Poszedł do altany, gdzie już siedzieli sami tylko mężczyźni przy winie, a muzyka grała ciągle spazmatyczne węgierskie melodje.

Rzeczywiście książę Filip starszy wyglądał osamotniony, ale nie było w tem winy niczyjej oprócz Jego Królewskiej Wysokości. Od godziny nie mówił z nikim, to jest odpowiadał z roztargnieniem na wszelkie propozycje mężczyzn i kobiet, które miały na celu wyrwać go z letargu. Widziano bowiem, że książę podlega napadom dziwnej, choć słodkiej melancholji. Stał pośrodku altany, ręce włożył w kieszenie, a wzrok utkwił w podłogę. Gdyby nie minjatura orderu Złotego Runa przy klapie od fraka, postać pretendenta nie nosiła na sobie żadnego piętna majestatu. Raczej wnosić było można, że wydziedziczony władca marzy o swej niewdzięcznej Venezueli i tłumi w sercu skarby miłości dla swego ludu.

A Cyganie po rozdzierającym wstępie czardasza wpadli w szalone tempo; prowodyr miotał się, przyklejony twarzą do skrzypiec, błyszcząc oczyma i zębami, przytupując, niemal płacząc z pijanego zapału. Zauważono wówczas, że obie złączone pięty Jego Królewskiej Wysokości zaszęły drgać i w takt odrywać się od podłogi. Prowodyr przyskoczył do książęcego ucha i załkał jeszcze rzewniej rozkrzyczanym smyczkiem. Znowu kapela wybuchła szaloną nutą galopady. Książę Filip uniósł się lekko na palcach i raczył wykonać cały obrót postacią. Odtąd ruchy Jego Królewskiej Wysokości stały się czemś choreograficznie tak wytwornem, że tylko kinematograf zdołałby utrwalić wrażenie tego tańca. Książę, pogwizdując zlekka, z oczyma wciąż tęsknie zapatrzonemi i głową spuszczoną,

podrygiwał na miejscu, od czasu do czasu obracając się szybko wokoło siebie, przyczem poły fraka tworzyły poziomy wiatrak, a baranek Złotego Runa przewracał na piersi książęcej wesołe koziołki. Nie był to czardasz, nie było fandango, lecz jakiś taniec wojenny wenezuelski, który widzów przejmował dreszczem.

W tej chwili książę Władysław Kobryński wszedł do altany.

— Cóżto! — pomyślał — abośmy to jacy tacy?!..

I stanął do tańca naprzeciwko Jego Królewskiej Wysokości. Ale czy niedosyć pojął i uszanował charakter tańca, czy zadziwił swą śmiałością i brakiem powołania, czy poprostu nadto się zataczał?— — gdyż książę Filip starszy przestał tańczyć.

Kobryńskiego odsunięto.

— Dajże pan spokój! Nic przeszkadzać! Jeszcze, jeszcze, Wasza Królewska Wysokość!

Pędem dążyli do altany ciekawi, czując, że raz tylko w życiu zdarzy im się sposobność widzieć takie solo. Tak niegdyś Izraelici podziwiali widok tańczącego króla Dawida.

Ale książę Filip starszy nie dał się już namówić na nowe popisy. Podrygując, opuścił altanę i poszedł spać do kajuty.

Kajut było dużo mniej, niż gości, a noc późna i nadmiar wrażeń zaczynały namawiać coraz gwałtowniej do odpoczynku. Wiele osób zniknęło już z pokładu.

U drzwi altany, po wyjściu księcia Filipa, stała

pani Oleska blada, z szeroko rozwartemi oczyma. Jerzy Dubieński towarzyszył jej znowu.

— Panie! Nie spodziewałam się, że tak będzie... Kiedyż my wrócimy?... Nocować tutaj... to przecie aż wstyd.

— Pozwoliłem sobie obmyśleć dla pani bezpieczne miejsce na odpoczynek. Lady Cosway czeka na panią w kajucie Nr. 3. To najporządniejsza kobieta z obecnych, upewniam panią. Proszę mi wierzyć.

Pani Anna spojrzała na Jerzego zrazu błędnie, potem ze szczerem wzruszeniem.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję. Tego nie zapomnę, bo to ładnie z pańskiej strony. To mnie bardziej zobowiązuje, niż rozmaite pochlebstwa, które słyszałam... No, dziękuję i dobranoc.

Jerzy stał pokornie, z odkrytą głową, niby niepewny swego pomysłu. Potem odprowadził panią Oleską do schodów wewnątrz statku i pocałował ją w rękę z oznakami nieśmiałego uwielbienia. Sam zaś poszedł do bufetu, skąd już margrabia rozkazał sprzątnąć zastawy i wino.

Słuszka, Schwind, Kobryński i Wiljaszew pili jeszcze kawę i dowodzili coś zapalczywie Rubensonowi, który odpowiadał stale: „To zależy". Dubieński był zupełnie trzeźwy, więc wolał wyjść na pokład, gdzie mało już kto się znajdował oprócz posługi.

Oparł się o zewnętrzną poręcz jachtu i zapuścił wzrok w ciemność tem czarniejszą, że oczy przywykły uprzednio do jasności. Powoli zaczął coraz dalsze spostrzegać zmarszczki fali, a w oddaleniu

linję wybrzeża, oznaczoną latarniami. Świeży powiew orzeźwiał go i rozmarzał. Bezpośrednio pod nim pasy światła równoległe na wodzie biły od statku, jak rząd promiennych wioseł.

— To od kajut. Tam ona zapewne się rozbiera... Ona?... Która? Cały ten wieczór był pełen pani Anny. Słowa jej srebrzyste, zdawało się, że jeszcze słyszy, ale to tylko fala łaskotała pancerz statku. W nozdrzach zachował wspomnienie jej zapachu — to tylko wietrzyk morski przewiewał przez kwiaty. Wyraźnie widział jednak ostatnie jej spojrzenie strwożone i wdzięczne, przy pożegnaniu. Te oczy majaczyły mu w nocnej fali, patrzyły gwiazdami z nieba i napełniały mu serce rozkoszną nadzieją. Zadowolony był z siebie: postąpił znacznie w zaufaniu, w przyjaźni Anny. Zachował się dobrze; odróżnił się wstrzemięźliwością, poważaniem, poezją od reszty towarzystwa. Jutro już będzie przyjacielem, pojutrze? Jakie to ładne imię: Anna! A spieszczone: Anusia, Anulka...

Wtem trącił go ktoś i oddał kopertę, zawierającą jakiś twardy przedmiot. Posłaniec mały, zwinny, w nieokreślonym męskim stroju, z kobiecemi oczyma, zniknął, nie czekając na odpowiedź.

Jerzy rozdarł kopertę, poznał w niej klucz, rozejrzał się wokoło i przy pierwszem spotkanem świetle przeczytał:

„Kajuta Nr. 8 ma dwa wejścia. Mniejsze od schodów służbowych zamknięte dla wszystkich, oprócz dla mnie i dla posiadacza klucza“.

Dubieńskiemu krew uderzyła do głowy. Nie po-

znał pisma, umyślnie skrzywionego, i nie zauważył odrazu numeru kajuty. W szereg rozmyślań o pani Annie wpadł ten list tajemny, jak olśniewająca szczęściem błyskawica. Ale zaraz ocucił go styl pisma i numer 8-my. Tamta jest przecie z lady Cosway w numerze 3-im!...

— Jednak Fernanda dba o mnie. Szczególnie po wczorajszej rozmowie, w której byłem zimny i szorstki... Nie wiem, co ona warta wogóle, ale że warta nocnej przechadzki, to pewna.

Poczuł icepły dreszcz i wyobraził sobie odrazu złote ciało Fernandy, i cichutkie, ostrożne pieszczoty w rojnych od ludzi głębiach okrętu, i wiele pragnień cudzych, skierowanych do tych drzwi, poza któremi on tylko znaleźć się może.

— Szelma Władzio dałby coś za ten kluczyk. Otóż go nię dostanie.

Myśl odrwienia szwagra, który sądził, że go zwyciężył w sercu Fernandy, rozweseliła Jerzego i zdecydowała.

— A przytem Fernanda taka piękna! tak do nię blisko! Cóż robić? pójdę...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

